„Obywatele anonimów i obywatele hydraulicy”

CZYTAJ NA STRONIE 2

odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok IV. ŁÓDŹ, 30 lipca 1961 r.

Refleksje zielonogórskie

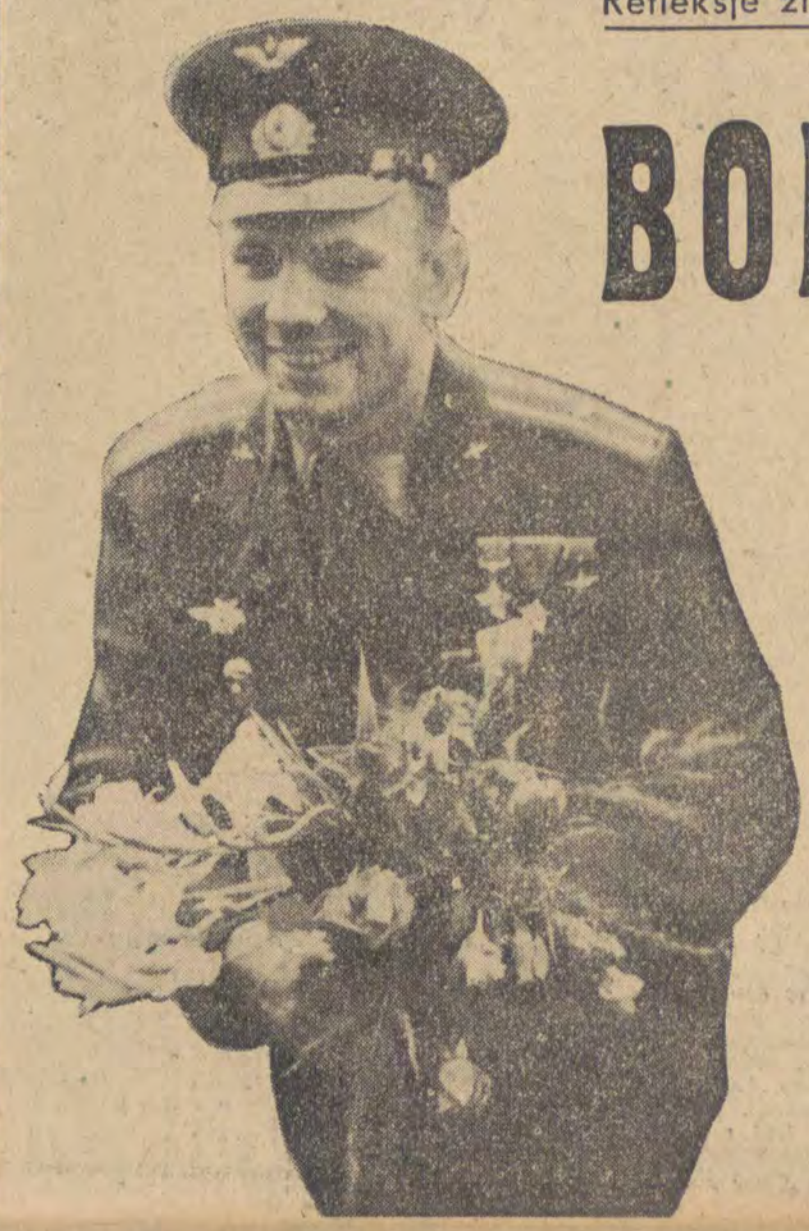

BOHATER wśród SWOICH

Przebywałem ostatnio blisko tydzień na Zlocie Młodzieży w Zielonej Górze i w okolicznych obozach ZMS, które w liczbie 26 rozlokowały się wokół stolicy Ziemi Lubuskiej.

Zarówno Zlot, jak i obozy stały niemal wyłącznie „pod znakiem Gagarina”. W każdym zgrupowaniu był przynajmniej jeden oboz „Wostok”. Chodziło się po obozach Alejkami Gagarina, Alejkami Pierwszego Kosmonauty, Alejkami... To był najbardziej młodzież pasjonujący temat zajęć szkoleniowych, najczęściej stosowany element dekoracji obozów.

Pragnę zauważyć, że kie-

Dalszy ciąg na str. 2

FELIKS BĄBOL

IV NAGRODA w konkursie „Opisanie Łodzi”

Na Przędzalnianej

Domy stare jak historia tej dzielnicy — jednej z najstarszych dzielnic fabrycznego miasta. Na Śląsku zaginęły już pewnie ślady po tych, których synowie zawędrowali aż do Łodzi, by szukać szczęścia.

Przybysze wznosili swe domy na skrzyżowaniach błotnistych dróg i traktów. Sto dwadzieścia lat temu zaczęli więc tworzyć historię Szlezyngu: na rogu Milionowej i Kilińskiego, na Zarzewskiej róg Przędzalnianej, na Łęczyckiej. Za małymi oknami parterowych zabudowań tkaczy i przędzalników szumiał las, od Milionowej ciągnął się bór daleko na północ, od Zarzewskiej ku południowi zaś horyzont ginął w rozległych łanach zbóż.

Wiedzeni obietnicą pracy i możliwością szybkiego urządzenia się, zaludniali kwadraty i prostokąty nowo wytyczonych dzielnic Łodzi. Dzielnica Ślązaki wrosła w miejskie tereny w pobliżu fabryk Scheiblera i Grohmanna. Stąd było też blisko do Geyera i na Widzew. A z Widzewem miał Szlezyng najbliższe kontakty, umacniała je codzienna praca na widzewskich tkalniach i przędzalniach. Rozwój Szlezyngu na południe był powolniejszy — Zarzew dostarczał Szlezyngowi co najwyżej artykułów rolniczych, przez długie dziesiątki lat stanowiąc dla tej dzielnicy zieloną oprawę pól i łąk. W niedzielne popołudnia robotnicy ze Szlezyngu i dalej nawet — z Fafendorfu, czy Księżego Młyna wyruszali z całymi rodzinami, kierując się na Zarzew. Ta droga i z innego powodu znana była od dawna niemal całej wschodniej części fabrycznej Łodzi. Była to droga na cmentarz zarzewski, bogata w epizody starć z władzą i policją.

... W 1906 roku manifestacja robotników ze Szlezyngu i Zarzewa towarzyszyła konduktowi aż do bram cmentarnych. W drugim roku rewolucji chowano właśnie działacza lewicy — Rosiaka poległego w ulicznym starciu z żandarmerią carską. Manifestanci nie doszli jednak do świeżo wykopanej mogiły. W pochodzie roiło się od szpicli i ludzie dość szybko zorientowali się w sytuacji. Grupy pierzchały z konduktu, rozpraszając się na drogach w stronę Poręby, Zarzewa i wsi Widzew.

... W 1921 roku chowaliśmy komunistę z Grabowej — opowiadał mi naoczny świadek. — Było to wkrótce po tragicznej śmierci prezydenta Narutowicza. Na Zarzewie znowu policja miała pełne ręce roboty. To w jednym to w drugim miejscu łopotały na wietrze czerwone sztandary wyciągnięte raptem spod marynarek, pieśń rewolucyjna wysoko biła pod niebo.

... A w 1933 roku? Z tą datą cmentarz na Zarzewie najsilniej powiązał się we wspomnieniach żyjących. W Łodzi trwał strajk powszechny. Przemysłowcy nie mają zamiaru podpisać nowej umowy, a zerwali starą, niewygodną dla siebie umowę z 1928 roku. Widmo głodu zagląda do małych domków na Szlezyngu i Górniaku, do familiaków Widzewa, do czynszowych kamienic i drewniaków Chojen, Karolewa i Bałut. Bo cóż innego mogła zapowiadać odmowa ze strony fabrykantów stosowania warunków pracy i płacy uzgodnionych przed czterema laty? A zresztą — nawet w okresie, gdy umowa obowiązywała, sytuacja przędzalników i tkaczy nie była godna zazdrości: przędzalnik zarabiał od 4 do 4.50 zł dziennie, a tkacz — najwyżej 4 złote. A kobiety? Te dostawały zaledwie 62 procent płacy mężczyzn na przędzalniach bawełny, i tylko 55 procent tego, co otrzymywał przędzalnik w fabryce wełnianej. To w marcu 1933 roku w jednej z gazet łódzkich ukazało się ogłoszenie o sprzedaży dziecka za 15 złotych. W ciągu lat 1931—32 przez łódzkie sądy przewinęło się 15 tys. wyroków eksmisyjnych. W tym sławnym mieście dostarczającym kolorowych kretonów całemu niemal światu na 120 tysięcy mieszkań robotniczych było aż 80 tysięcy jednoizbowych. W tym sławnym mieście naczelny dyrektor Zjednoczonych Zakładów K. Scheiblera i L. Grohmanna, Fritz Hoffmann zarabiał 20.000 złotych miesięcznie.

Mnożyły się więc strajki, przygotowywał grunt pod wielki strajk powszechny włókniarzy 1933 roku. Jeden z uczestników wydarzeń, które splotły odruch buntu łódzkich robotników z historią zarzewskiego szlaku, opowiadał to co sam przeżył:

— Atakowaliśmy policję konną z bramy Zyndermana na Rokicińskiej. Przy Przędzalnianej stała karetka. W pewnej chwili znalazłem się w małym drewniaku na Nowej róg Rokicińskiej, skąd z facjatki widziałem wszystko. Ktoś od Zyndermana trafił kamieniem komisarza. Komisarz strzelił, ktoś rzucił kamieniem jeszcze raz. Policjant z rogu Przędzalnianej rzucił się z karabinem do bramy. Trzymał broń oburącz, jakby się bał, by mu jej nie odebrano. I wtedy właśnie padł strzał. Tak zginęła młoda robotnica widzewska, Wojciechowska.

Inny świadek wydarzeń tak snuje dalszy ciąg:

— Odprowadzaliśmy Wojciechowską na cmentarz zarzewski. Kondukt szedł Przędzalnianą do Przybyszewskiego. Tramwaj „szóstka” leżał na ulicy przewrócony na bok, latarnie gazowe z powybijanymi szybkami zagradzały drogę na chodnikach. W pobliżu cmentarza policja skryła się za stodołami, jak by czekając na sygnał. Nie chciała na razie prowokować, taki miała chyba rozkaz. Tłum szedł w głębokim milczeniu i w okamgnieniu wypełnił cały cmentarz. Ledwo trumnę opuszczono do grobu, policjanci otrzymali sygnał. Zaściągnięty w pośpiechu z miasta. Ale cóż to za broń — kamienie? Manifestanci rozbiegli się po polach, kryjąc się w okolicznych zabudowaniach...

* * *

Szlezyng zawdzięcza swe istnienie fabrykom tak, jak zawdzięcza im swą nędzę. Hydraulik fabryczny od Scheiblera, Wodziński w okresie międzywojennym wybudował sobie domek na Skierniewickiej. Oszczędności całego pracowitego ćwierćwiecza poszły na budowę małego domku wzniesionego przez salowego Bajera... Na Przędzalnianej, Wandy, Częstochowskiej i Rawskiej odrastały ledwo od ziemi domy tkaczy i przędzalników. Składał się na nie często trud kilku pokoleń: ojciec zdążył postawić fundamenty i komin, ale gdy przystępował do ciułania pieniędzy na ściany i dach łamał się pod ciosami gruźlicy. Dzieło ciągnął dalej syn, a bywało, że zanim ludzie w takim domku zamieszkali i ktoś z wnuków dokładał cegiełkę. Zanim Scheibler wybudował swe olbrzymie zakłady w 1855 roku, żyć było tu łatwiej, bo i ludzi było mniej. Ale gdy fabryk przybywało, przybywało i ludzi i to zawsze więcej, niż było dla nich miejsca przy krosnach i przędzarkach. Gdy przybywało fabryk — obniżało się lustro wody na Szlezyngu, wysychały studnie jedna po drugiej ogałacane z wody przez pompy fabryczne zasilające kotłownie. Po wodę więc na Szlezyngu już od dawna chodziło się jak po prośbie, z ulicy na ulicę.

Grabowski ma lat dopiero sześćdziesiąt, ale przeżył wiele. Na taśmie filmowej

Wandy

Częstochowskiej

Dalszy ciąg na str. 4

BOHATER wśród SWOICH

Gagarin i Kriuczkow na trybunie stadionu zielonogórskiego podczas zlotu.
Fot. J. Brysz

Dalszy ciąg ze str. 1

dy na początku lipca 5 tysięcy ZMS-owców z całego kraju wybierało się na wakacje w Ziemi Lubuskiej, nikt nie wiedział jeszcze, że major Gagarin złoży tam wizytę. Jednak jakby podświadomie młodzież „oczekiwała" go u siebie.

Wyczuł to doskonale również sam Jurij. Wysiadając z samolotu na lotnisku pod Zieloną Górą, mówił: „Miałem dużo spotkań w Warszawie, Katowicach, województwie katowickim. Bardzo dużo spotkań ciepłych, serdecznych. No, ale spotkania z młodzieżą jeszcze nie było. Myślę, że my z młodzieżą zrozumiemy się dobrze, bo i ja jeszcze nie jestem starym człowiekiem".

Urodził się przecież „dopiero" 9 marca 1934 roku, jest niemal rówieśnikiem tych tysięcy młodzieży, które w skupieniu i z podziwem patrzyły nań z płyty stadionu zielonogórskiego. Należy całkowicie do ich pokolenia a równocześnie dzieli go od nich olbrzymia, właśnie wręcz „kosmiczna" odległość, którą kosztem wyrzeczeń, wysiłków i stalowej woli musiał krok po kroku pokonywać, by zostać tym, kim jest dzisiaj.

Spełnił wszystkie warunki, by stać się ich ideałem. Tak na pewno myśleli, słuchając w ciszy jego słów.

Choć był „las" szturmówek, haseł i portretów, manifestacja swoją atmosferą w sposób zasadniczy różniła się od innych podobnych uroczystości. Młodzież nie skandowała, mało było wznoszonych okrzyków, młodzież wpatrywała się, jakby „chłonęła" swojego bohatera.

W pewnym momencie na trybunie obok Gagarina pojawił się tak samo drobny i szczupły mężczyzna w identycznym mundurze lotników radzieckich. Powitali się serdecznie. Właśnie tu w Zielonej Górze kapitan Iwan Fiodorowicz Kriuczkow mógł powtórnie spotkać Gagarina.

Pięć lat temu w szkole lotniczej w Orenburgu Kriuczkow przez półtora miesiąca uczył nikomu nieznanego sierżanta Gagarina sztuki latania na odrzutowcach. Minęło zaledwie pięć lat...

Na młodzież, opuszczającą stadion, oczekiwali kolporterzy z nadzwyczajnym wydaniem „Gazety Zielonogórskiej". Był tam również wywiad z Kriuczkowem. Czytając go, wielu z pewnością zadało sobie to jedyne w tej chwili właściwe pytanie: „Co zrobił w ciągu ostatnich pięciu lat...?"

Zanim przybył na stadion, oglądał Gagarin w siedzibie Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze makietę budowanego tu właśnie kompleksu gmachów Studium Nauczycielskiego.

Dzień przed jego przyjazdem na terenie budowy odbyła się uroczystość nadania przyszłej uczelni imienia Jurija Gagarina. W fundamentach jednego z gmachów spoczął wmurowany akt erekcyjny. „Działo się to w dniu 21 lipca, w przeddzień obchodów 17 rocznicy powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w których wziął udział major Jurij Gagarin..." głosił początek aktu.

Budowę zielonogórskiego Studium podjął ZMS, angażując w to wyłącznie społeczny czyn członków organizacji. Zebrano już 6 milionów złotych z koniecznych dwudziestu sześciu. Bez przerwy pracują tu ochotnicze brygady młodzieżowe z całego kraju. W dziesiątkach zakładów brygady ZMS-owskie przygotowują w godzinach nadliczbowych urządzenia dla tego „kombinatu pedagogicznego". Ruszy 1 września 1963 roku, będzie kształcił we wspaniałych warunkach około 500 słuchaczy.

Nie wiem, czy jest w tej chwili w Polsce obiekt bardziej predystynowany do tego, by nosić imię pierwszego kosmonauty. Dlatego ów akt erekcyjny ma wszelkie znamiona symbolu.

W obozie młodzieży katowickiej w Lubniewicach obchodzono 20 lipca „Dzień Gagarina". Ale postać Jurija, choć z mniejszym rozmachem, popularyzowano również we wszystkich pozostałych obozach. Młodzież dowiadywała się nie tylko szczegółów technicznych wielkiego sukcesu nauki radzieckiej, otrzymywała też wszechstronną odpowiedź na pytania, dlaczego właśnie Gagarin wybrany został do pierwszego lotu, że nie było to bynajmniej dziełem przypadku. Jego „droga życiowa", upór i silna wola, jego rozległe zainteresowania, żelazne nerwy, koleżeńskość i łagodny charakter — to wszystko znane jest dziś każdemu z pięciu tysięcy uczestników Zlotu i setkom tysięcy ich kolegów w całym kraju. Związek Młodzieży Socjalistycznej z dużą umiejętnością „rozegrał" wizytę Gagarina w Zielonej Górze, wykorzystał całkowicie tę jedyną w swoim rodzaju okazję, by najlepiej przedstawić rzeszom młodych człowieka tak godnego naśladowania.

W bardzo niewielkim nakładzie wydrukowano na dzień Zlotu pocztówkę z fotografią Gagarina, z jego autografem na odwrocie: „Sierdeczno priwietstwuju mołodioż sobrawszujusia na sliot w gorodzie Zielenaja Gora — Gagarin 22. 07. 1961". Po kilkanaście egzemplarzy pocztówki otrzymali do rąk komendanci poszczególnych obozów. Zostaną wręczone na pamiątkę najbardziej aktywnym spośród uczestników.

Pomysł sam w sobie może nie zaskakuje oryginalnością, za to jak pełne ma pokrycie, jak głęboki sens i czytelny „podtekst".

Jak wszystko, co działo się w Zielonej Górze 22 lipca 1961 roku i jeszcze kilka tygodni wcześniej.

JULIAN BRYSZ

„Obywatele anonimów i obywatele hydraulicy"

Tajemnica.? — Magiczne słowo, które najbardziej obojętnych na świata tego sprawy potrafi zbulwersować i wytrącić z błogiej równowagi, które szlachetny płomyk fascynacji przemienia w wielki pożar i drętwy umysł zmusza do funkcjonowania. Tajemnica — to szansa zdobycia sławy i pieniędzy, tajemnica — to wreszcie sprawa narodowa (nie mylić z tajemnicą państwową), spędzająca sen z oczu milionom ludzi w kraju i nawet za granicą.

Dotychczas największe doświadczenie w tym względzie posiadają kraje Dalekiego Wschodu. W Europie przoduje Anglia wyspecjalizowana w dziedzinie duchów. (Oficjalny stan posiadania 150 sztuk). Obecnie jednak imperium brytyjskich duchów blednie wobec wzrostu liczby tajemnic w kraju nad Wisłą. Zagadkowy ten kraj niepokoi świat tajemniczymi bunkrami pełnych skarbów. Znając upór i tradycje zespołowego działania Polaków w każdej błahej sprawie śmiem twierdzić, że już niedługo zdystansujemy pod tym względem inne kraje i staniemy się największym mocarstwem tajemnic. Przepis na to jest prosty i łatwy do wykonania. Ażeby jednak zbyt nie teoretyzować oprzemy swe dalsze wywody na szczegółowym omówieniem pewnego precedensu.

Otóż od piętnastu lat byliśmy właścicielami ogromnej tajemnicy, lekceważonej w sposób bezprzykładny. Znaleźli się nawet tacy, którzy winą za to niedbalstwo obarczają sejm, konstytucję i inne organa Rzeczypospolitej. I choć z bólem serca, ale musimy przyznać, że jednostki te mają całkowitą rację. Dotychczas cały naród budował swoją stolicę i inne miasta, nareszcie jednak wziął się w garść i z wielką pasją oraz poświęceniem zaczął odkrywać własne tajemnice.

Na pierwszy ogień poszły bunkry spalskie. W dniu 3 marca br. ukazała się w Głosie Robotniczym maleńka wzmianka pod tytułem „Czy Goering skrył swe skarby w schronie pod Spałą "

I tu zaczyna się, proszę Państwa, szopka narodowa, której nikt nie mógł przewidzieć a najmniej redaktorzy tej notatki. Z praktyki dziennikarskiej wiadomo, że w okresie kanikuły najbardziej nobliwe pisma zamieszczają od czasu do czasu tego typu enuncjacje, lecz nikt niestety, nie może przewidzieć, która z nich „chwyci". Jak zareagują na nią czytelnicy?

Tak było i w tym wypadku.

Następnego dnia po ukazaniu się owej niewinnej notatki, przy Szkole Rzemiosł Budowalanych w Tomaszowie zorganizował się samorzutnie pierwszy Komitet do Spraw Odkrycia Tajemnicy Goeringa.

— „Jesteśmy skłonni — piszą członkowie Komitetu — i chcemy podjąć się przeprowadzenia badań i odwodnienia tunelu. Dysponujemy siłą roboczą, wielkim zapałem i kadrą fachową w postaci jednego inżyniera budownictwa..." Dalej następuje prezentacja szeregu fachowców specjalistów rożnych dziedzin i list kończy się słowami: „Potrzebna nam będzie pomoc w sprzęcie i w małym fnuduszu"

Dziś już wiadomo, że w bunkrach spalskich nie ma nic godnego uwagi. Prasa warszawska okpiła nas jak się patrzy, prasie łódzkiej wypada złożyć gratulacje, ale my tego nie mówimy ironicznie.

Drukujemy obok listy, pisali je nasi krajowi amatorzy przygód, patrioci i hydraulicy, młodzież zorganizowana i luzem sobie chodzący, gotowi na każde przedsięwzięcie, jeżeli tylko może ono przynieść dochód. Zwróćcie, prosimy, uwagę na te listy. Prasa w najlepszych zresztą intencjach zamierzała nadać sprawie tajemnicy spalskich bunkrów obywatelski charakter, zwołać coś w rodzaju szlachetnego pospolitego ruszenia ludzi śmiałych, kochających zdrową przygodę. Stąd te artykuły sążniste, te polemiki poważne, gdzieś na dnie kampanii gazetowej słyszeć było można pieśni bojowe, wyczytać między wierszami o nieugiętym duchu Polaka.

Zaczęło się wcale przyzwoicie, powstał jakiś komitet, zwykła kaczka dziennikarska przemówiła głosem nowego odkrywcy świata, ciąg dalszy jednak....

Czytajcie uważnie listy. Toż to prawdziwe odrodzenie prywatnej inicjatywy, wszystko się zrobi, ale 10 procent dla mnie musi być, pokryjecie koszty, zapłacicie odpowiednią dolę, a odkryję wam wszystkie tajemnice jedyną i niezawodną metodą, „made by ja", wszelkie prawa zastrzeżone, do mnie i tylko do mnie kochane państwo ludowe, za niewielką opłatą, itd., itd.

I tak to maleńka kaczuszka z krótkimi nóżkami odsłoniła trochę prawdy. Czyż nie należy pogratulować inicjatorom kampanii narodowej? W bunkrach niczego nie odkryto, ale w społeczeństwie?

* * *

„...Więc to co widziałem to opisałem, więc gdyby te moje spotrzeżenia na coś się przydały, to byłbym z tego niezmiernie zadowolony, gdyż ja to zeznaje (to jest cytat listu a nie przesłuchania. Przyp. nasz) nie dla zysku, tylko że i ja bym należał do rozwikłania tej tajemnicy i mój by tam był wkład to bym się bardzo cieszył, ż my Polacy też mamy głowy nie od parady...", „...Bardzo mi jest dziwno że do tej pory władza ludowa nie wnika w sprawę odwodnienia tunelu i odkrycia tajemnic hitlerowskich. Ja w tej chwili pracuje w jednym z przedsiębiorstw łódzkich przy odwadnianiu wykopów kanalizacyjnych i dlatego bardzo głęboko wnikam w odwodnienie tunelu spalskiego... Pozostałe wiadomości w celu odwodnienia tunelu pozostają u mnie. Do pracy mogę przystąpić wspólnie z moim współpracownikiem..."

A oto fragment deklaracji owego „współpracownika": — „Wiem tylko jedno, że tu nie trzeba dużych rozmyślań, tylko trochę szczerych chęci i tylko kilku chętnych chłopaków takich jak ja i Bartczak, i nie ma cudów w dwudziestym wieku, bunkier będzie gotowy. A o bezpieczeństwo nie ma się co bać!..

* * *

„...W dalszym ciągu wyjaśniam, że wszystkie projekty które wy podawaliście różnych specjalistów krajowych oraz zagranicznych nie są i nie będą tańsze oraz lepsze od projektu mojego i dlatego nadal jestem skłonny wziąć udział w odwadnianiu bunkrów w Konewce i Jeleniu oraz w innych miejscowościach..."

* * *

„...W żadnym z waszych artykułów nie jest bliżej powiedziane na czyj to koszt i rachunek mają być wykonane wyżej opisane roboty, a to jest jedna z ważniejszych spraw każdego specjalisty. Za zmarnowany czas i wykonaną pracę należy otrzymać odpowiednie wynagrodzenie. Filantropów obecnie w Polsce brak, zginęli wraz z kapitalistami... Z chwilą usunięcia wody z bunkru i gdy się okaże, że znajdują się w nim faktycznie wartościowe przedmioty — będą podlegały konfiskacie na rzecz Skarbu Państwa, a biedny specjalista nie będzie wiedział gdzie kiedy i do kogo ma się zwrócić po wynagrodzenie za dokonane dzieło (!)."

„Jednocześnie winna być zapewniona całkowita gwarancja wolnego poruszania się po terenie i w bunkrze o każdej porze dnia i nocy i nie mająca nic wspólnego z uzależnieniem od Centrali Rybnej. Dalej, nie można uzależnić zapłaty za dokonaną pracę od tego, czy zostanie coś wartościowego odnalezione czy też nie. Bo po odwodnieniu bunkru może się okazać brak wartościowych przedmiotów co jest bardzo uprawdopodobnione tym że chyba Goering nie był na tyle naiwnym, ażeby przechowywał rzeczy wartościowe na terenie Trzeciej Rzeszy.... Według mojego zdania w bunkrze może się znajdować trochę mało wartościowych różnego rodzaju rupieci jak: telefony, maszyny do pisania, radiostacje, radar, magazyn amunicyjny, magazyn żywnościowy, szpitalnia, bufet obficie zaopatrzony oraz szpital i apteka".

* * *

„... Jeśliby były jakieś werbunki do tej pracy w Konewce czy Jeleniu chciałbym brać w nich udział. Więc prosiłbym redakcje o o informacje, gdzie z takimi sprawami będzie się można udać i na jakich zasadach. Bo z ideą to nie bardzo to wychodzi, mam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci."

Niektóre listy zatytułowane są „prośba", „podanie", „oświadczenie". Pewien autor przysyła nawet listy ze stemplem „OCENZUROWANO". Jedni wysyłają je bezpośrednio do redakcji, inni natomiast na adres Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej, jeszcze inni do Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i do Komitetu Wojewódzkiego PZPR.

Fragment listu dwudziestoośmioletniego górnika ze Świętochosławic:

— „Jeżeli dotychczas ekipy nie zdołały zdobyć i oczyścić tych lochów to ja

jestem gotów podjąć się tej pracy. Pewien jestem, że uda mi się dokonać tego w przeciągu dwudziestu dni. A rezydencja zostanie zdobyta. Oczywiście jeżeli otrzymam procent od wartości tego podziemia. Żądam % procent i zwolnienia od płacenia podatków i innych opłat".

* * *

— Ja prowadzę obserwacje i badania według własnej metody — pisze jeden z „odkrywców" — od roku 1955 i obecnie znam tajemni-

ce zawodnionego bunkru. Podaję niektóre dane: tunel wynosi 7.000 metrów bieżących, wnętrze jego zajmuje 380.000 metrów sześciennych, a całość: hale fabryczne, laboratoria oraz inne ubikacje łącznie z tunelem zajmują 1.200.000 m³. Mam całkowicie opracowany plan, ale kto zapewni mi koszty poniesione przy tych pracach, gdyż sam tego nie zrobię, potrzebni są ludzie i sprzęt. Nadmieniam, że mój sposób, którego nie podaję zapewnia ludziom bezpieczeństwo przed minami, które tam są zainstalowane. Odwodnię go bez udziału pomp, ponieważ największe pompy nie będą w stanie wypompować wody, która będzie stale dopływać. Jeżeli to Pana interesuje proszę zechnąć mnie z odpowiednim czynnikiem państwowym któremu mógłbym przedłożyć plan ewentualnie zawrzeć kontrakt"

* * *

Do

Wszystkich tych, którzy wiedzą coś o zalaniu podziemi w bunkrze Konewka i Jeleniu, a nie chcą zdradzić tajemnicy.

Obywatelu! Jeżeli jesteś Polakiem i leży Ci na sercu, że jesteś w wolnej ojczyźnie i jesteś ojcem a masz dzieci, które się może uczą w szkole a może już pracują i są wolne tak jak Ty, zrozum mię. Przypomnij sobie obywatelu te koszmarne dni i noce za czasów okupacji, że nie byłeś pewny dnia ani godziny, że możesz skończyć życie w piecu krematoryjnym bądź rozstrzelaniem we własnym mieszkaniu lub powieszony. Ty dziś jeszcze może naprawdę znając tajemnicę zalania podziemi ukrywasz ją przed władzami, które tyle wysiłku kładą celem zbadania tych podziemi. Ja wiem o co Ci chodzi. Ty chcesz otrzymać wielką sumę pieniędzy. O nie, obywatelu, pieniądz to nie wszystko. Lepsza wolność jak całe góry złota. Nie myśl sobie obywatelu, że rząd Polski Ludowej nie omieszka Cię wynagrodzić, jeżeli Twoja praca w tej sprawie da rezultaty. Rząd Polski Ludowej wynagradza tych, którzy sobie na to zasłużyli i będzie wynagradzał dalej. Jestem tego pewny.

Obywatele Polacy! Apeluję do Was wszystkich tych, którzy znacie szczegóły zalanych tuneli... Przyczyńcie się do rozwiązania tej zagadki, bo co kryją podziemia to nikt nie wie a zbadać koniecznie trzeba, bezwarunkowo bo może tam czyha na nas zagłada, jeżeli w porę nie zbadamy. To jest rzecz wielkiej wagi, gdzie należy wytężyć wszystkie siły i możliwości celem zbadania tajemnicy.

Obywatele anonimów i Obywatele hydraulicy, technicy budowlani, elektrycy, kreślarze i Wy wszyscy, którzy macie jakieś doświadczenia związane z podobnymi weźcie gremialny udział w rozwiązaniu tajemnicy. Uczeni i nieuczeni zespolmy wszystkie siły, a praca nasza zapewne wyda owoce.

Zawsze oddany sprawie ojczyzny

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

„Garsoniera"

Komedia z pewnymi elementami dramatu, a nawet melodramatu, oparta na bardzo dobrze skonstruowanym scenariuszu, — tak w skrócie można określić „Garsonierę" — jeden z najnowszych filmów Billy Wildera, reżysera: „Bulwaru Zachodzącego Słońca", „Rzymskich wakacji", „Miłości po południu", „Pół żartem, pół serio", „Słomianego wdowca".

Historia młodego urzędnika pewnej nowojorskiej firmy ubezpieczeniowej, wykorzystywanego na zasadzie hierarchicznej zależności przez swych zwierzchników, zmusza do uśmiechu dzięki inteligentnym dialogom i zabawnym, groteskowym sytuacjom nie przekraczających jednak granicy realizmu. Obok wielu elementów groteski, „Garsoniera" zawiera również elementy dramatu człowieka, którego praca i ludzka egzystencja uzależnione są od wypożyczenia zwierzchnikom pokoju dla miłostek. A zwierzchników jest sporo, gdyż cała firma liczy, jak to nam bohater filmu komunikuje, 31.259 pracowników. Kariera młodego człowieka zaczyna toczyć się błyskawicznie dzięki dyskretnie użyczanemu kluczykowi od przytulnej garsoniery. Uśmiechamy się na widok starszych panów uprawiających w/g. ustalonego z góry rozkładu „wolną miłość" w pokoju swego podwładnego. Starsi panowie muszą to robić z dokładnością do minuty, ponieważ chętnych na korzystanie z dyskretnego miejsca schadzek jest sporo.

Uśmiechamy się, ale i zastanawiamy nad mechanizmem działania obyczajowego zakłamania, jakie nam Wilder, chyba tylko częściowo odsłania. Przestajemy się uśmiechać kiedy zdawałoby się nieszkodliwa, pikantna zabawa starszych panów zaczyna wkraczać butami w sferę ludzkich uczuć i usiłuje je deptać. W filmie Wildera jest i element pozytywny w postaci skromnego urzędnika potrafiącego zdobyć się na zrezygnowanie z łatwej kariery i awansu na rzecz zwykłego, ludzkiego uczucia, człowieka umiejącego „zachować twarz".

Jack Lemmon („Pół żartem, pół serio") w roli owego przyzwoitego człowieka jest groteskowy, bawiący widzów, tym niemniej potrafi zachować granicę, wtedy gdy groteska zaczyna ustępować gorzkiej prawdzie obyczajowej. Lemmon jest świetnym partnerem uroczej Shirley Mac Laine, młodej aktorki o wyrazistej, trochę dziecięcej minie, która stwarza postać pełną liryzmu, umiejętnie unikając przy tym taniej melodramatyczności. Nie darmo za rolę tę uzyskała na Festiwalu w Wenecji w 1960 r. nagrodę za kreację aktorską.

Jak już wspomniano „Garsoniera" oparta została na świetnie skonstruowanym scenariuszu. Zasługa to przede wszystkim Billy Wildera, który jest współscenarzystą tego filmu. To, że stosunkowo długi film ogląda się z wielką przyjemnością, że narracja jest potoczysta, należy — wydaje się — zawdzięczać warsztatowi reżyserskiemu Wildera i jego znakomitym aktorom.

Shirley Mac Laine

FILM o nowej tezie naukowej

Stosunkowo mało widzów w Polsce miało możność obejrzeć film krótkometrażowy „Źródła energetyczne krążenia krwi" wyprodukowany przez wytwórnię Filmów Oświatowych w Łodzi. Dlaczego akurat ten film wydaje się ważnym do odnotowania? Otóż chyba po raz pierwszy polski film krótkometrażowy stał się formą naukowej wypowiedzi, postawił tezę naukową, która we współczesnym świecie medycznym wzbudziła wiele dyskusji. Autorem tej tezy i współtwórcą filmu jest znany polski uczony, chirurg prof. dr Leon Manteuffel oraz jego współpracownicy naukowi: dr Jerzy Grundman i dr Czesław Turski.

Zgodnie ze spostrzeżeniem prof. Manteuffla — każdego, kto obserwuje układ krążenia krwi, zwłaszcza podczas zabiegów chirurgicznych — uderzyć musi potężny zasób energii kinetycznej, jaką posiada krew. Dotyczy to zarówno serca, jak i naczyń obwodowych. Według współcześnie obowiązujących w fizjologii podstaw, serce jest jedynym źródłem krążenia krwi pracując tak jak pompa. Teza prof. Manteuffla, którą film dokumentuje na zarodku kurzym, podważa obowiązujące dotychczas podstawy naukowe w tej dziedzinie.

Filmowcami, którzy wspólnie z profesorem film zrealizowali są — reż. Jerzy Popiel-Popiołek oraz operator Józef Arkusz. Realizacja filmu trwała przeszło rok. Preparatom do zdjęć filmowych należało stworzyć takie warunki fizjologiczne, aby fenomeny krążenia krwi przebiegały normalnie. W związku z tym skonstruowane zostały specjalne termostaty z plastiku, do których przenoszono filmowane tarczki zarodkowe. Film „Źródła energetyczne krążenie krwi" jest pierwszym filmem badawczym wyprodukowanym w WFO. Odniósł on duży sukces na V Międzynarodowym Festiwalu Filmów Naukowo-Badawczych w Padwie w listopadzie 1960 roku. Na Festiwalu tym reprezentowane były 22 kraje — m. in. Austria, Belgia, Francja, NRD, NRF, Czechosłowacja, Indie, Japonia, USA, ZSRR, Szwajcaria. Film prof. Manteuffla i reż. Popiel-Popiołka zdobył na tym Festiwalu Grand Prix w kategorii filmów badawczych.

A. N.

MIESZANKA FILMOWA

A co w Paryżu?

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA

Korespondencja własna „Mieszanki"

Każdego roku trzy wielkie czasopisma: „Le Figaro", „Cinemonde" i „Film Francais" przyznają najlepszym filmom francuskim i zagranicznym „Victoires", francuski odpowiednik „Oscarów". Eliminacja odbywa się w dwu etapach: najpierw redakcje trzech dzienników przeprowadzają rodzaj „prereferendum" wśród pisarzy, muzyków, reżyserów i techników filmowych w celu ustalenia pierwszej listy filmów. Potem wypowiadają się czytelnicy.

Tego roku wyżej wspomniane prereferendum dało następujące wyniki: Filmy francuskie: „Prawda" (41 głosów), „A bout de souffle" (11), „Dziura" (6), „Podróż balonem" (5), „Przejście Renu" (5), — Filmy zagraniczne: „Słodkie życie" i „Ballada o żołnierzu" (ex-aequo: 15 głosów), „Nigdy w niedzielę" (14), „Awantura" (11), „Alamo" (9), „Ben Hur" (7), „Garsoniera" (6).

Trudno powstrzymać się od komentarzy. Wyżej przedstawiona lista świadczy o ciekawym eklektyzmie... Bo w końcu, jeśli można dyskutować o słuszności wyboru „Prawdy" czy „Przejścia Renu", obecność na liście „Podróży balonem" czy „Dziury", wydaje się być niczym nie usprawiedliwiona. „Ballada o żołnierzu" i „Słodkie życie" zostały sklasyfikowane w jednym rzędzie z filmami o wartości wręcz żadnej, jak „Alamo", „Ben Hur" czy nawet „Nigdy w niedzielę". Sukces kasowy nie wystarcza, aby z „Ben Hura" uczynić dzieło, a z „Nigdy w niedzielę", coś więcej, niż zabawną i dość barwną opowiastkę. I nie należy się spodziewać, że wypowiedzi widzów przyniosą coś nowego. Co najwyżej potwierdzą wybór filmów najsłabszych. Cóż, tradycja.

* * *

Z filmów, które obecnie są na ekranach kin paryskich, nie trudno wskazać najbardziej popularne (co nie zawsze oznacza — najlepsze). A więc „Prezydent" z Jean Gabin — skrojona na miarę starszego pana nicówka znanej powieści Simenon'a, „Księżniczka de Cleves" — miła kolekcja ilustracji do powieści Mme de La Fayette i nic ponadto, jeśli nie jeszcze jeden przykład akademizmu w filmie... Ach, byłbym zapomniał — jest jeszcze przecie „Postronek przy szyi" z podtytułem „BB en liberte". Duża wolność, proszę państwa.

Będzie chyba truizmem stwierdzenie, iż kinematografia francuska przeżywa kryzys. „Nowa fala" przepłynęła nie zmieniając biegu rzeczy: nowe filmy pozostają zawsze na poziomie przeciętności (typowy przykład — jedna z pierwszych nagród w Cannes — „Tak długa nieobecność").

Generacja wybitnych filmowców odchodzi, następców nie widać. Przypadek? Brak młodych talentów? Na pewno nie. Po prostu, objaw komercjalizacji i związanego z tym przejścia z twórczości na produkcję.

Faktem jest, że Francuzi dysponują doskonałymi scenariuszami, lecz film — należy o tym pamiętać — to przede wszystkim sztuka reżyserii, a nie scenariusza. Tymczasem większość nowych filmów francuskich jest anonimowa — można je przypisać obojętnie jakiemu reżyserowi; są one zazwyczaj inscenizacją scenariusza, a nie jego interpretacją.

Ciekawszą grupą filmów aktualnie wyświetlanych w Paryżu stały się filmy zagraniczne. Włoska „La Viaciia" z Jean Paul Belmondo, dobry film, o którym, niestety, mówi się niewiele. „The Misfits" — dobry film, o którym mówi się zbyt wiele. Jest „Exodus" — film bez reszty amerykański. Jest „Matka Joanna od Aniołów", która cieszy się dużym powodzeniem, mimo dowcipnych wypowiedzi pewnego recenzenta, iż „u Bergmana lepiej pali się na stosie"... Z polonicow należy jeszcze zasygnalizować „Cień", który był niedawno wyświetlany.

* * *

„The Misfits" — to film, o którym mówi się dużo. To powieść, wg której autor Arthur Miller później napisał scenariusz, jest ponoć historią jego uczuć do Marilyn Monroe, która właśnie odtwarza rolę głównej bohaterki. A więc Marilyn Monroe — gra Marilyn Monroe. Dzienniki natychmiast podchwyciły: „Arthur Miller odkrywa światu sekrety Marilyn Monroe!"

Film reżyserował John Huston, autor kilku spośród najlepszych filmów amerykańskich: „Skarb z Sierra Madere", „Asfaltowa dżungla", „African Qeen". Jednakże należy zauważyć, dobiera on ostatnio scenariusze o wiele mniej interesujące, nie stara się wyrazić w swych filmach myśli oryginalnej i jeśli w „Bóg tylko wie" czy „Korzenie nieba" wykazuje doskonałe opanowanie tematu, to tylko momentami wyczuwa się styl i pazur ich autora. Podobnie jest z „The Misfits". Film o dużej wartości artystycznej, technicznie doskonały, jednakże wydaje się być dziełem raczej scenarzysty niż reżysera.

„The Misfits" — tytułu tego filmu we Francji dotychczas nie przetłumaczono poprawnie. Po polsku — zdaje mi się — brzmiałby on „Wykolejeńcy". Film opowiada historię trzech „kowbojów-dekadentów" (Clark Gable, Eli Wallach, Monty Clift). Ich normy etyczno-moralne wywołują żywą reakcję kobiety (Marilyn Monroe) — na tym tle konflikt. Akcja filmu rozgrywa się w fantastycznej scenerii równin Nevady. Dużo dobrych zdjęć, szybkie tempo akcji.

STANISŁAW STAN-WIŚNIEWSKI

FELIKS BĄBOL

Nasz laureat

Urodził się w Łodzi w 1914 roku. Praktykę dziennikarską rozpoczął w prasie łódzkiej już w 18 roku życia. W 1937 r. zostaje kierownikiem działu miejskiego w dzienniku „Echo", w tym samym roku zapisuje się na zaoczne studia prawnicze na Uniwersytecie Warszawskim, których jednak w związku z wojną nie kończy. Wcielony do wojska w pierwszej, marcowej mobilizacji 1939 roku bierze następnie udział w kampanii wrześniowej (walki nad Bzurą 13—17. 9. 1939), po czym jako jeniec przebywa w stalagu (Neu-Brandenburg).

Po wojnie należy do pierwszej grupy dziennikarzy uruchamiającej łódzką prasę („Wolna Łódź", „Rzeczpospolita"), pracuje przez pewien czas w „Expressie Ilustrowanym", potem w „Życiu Warszawy", by wreszcie przez szereg lat pełnić funkcję kierownika działu społeczno-ekonomicznego „Dziennika Łódzkiego". W tym czasie wydaje wspólnie z Jerzym Millerem zbiór opowiadań na tematy związane z rewolucją 1905 — 1907 roku w Łodzi. Obecnie jest sekretarzem redakcji „Expressu Ilustrowanego".

ZAPYTANY, CO SĄDZI O FUNKCJI REPORTERA, ODPOWIADA:

— Uważam, że praca w pismach codziennych w Łodzi nie sprzyjała dotąd rozwojowi tego gatunku dziennikarskiego. Dlatego myślę, że właściwie Łódź nie została jeszcze przez reportera odkryta. Konkurs „Odgłosów" jest chyba pierwszą oryginalną próbą dokonania tego odkrycia. Poza tym — niedobrze się stało, że w środowisku łódzkim w praktyce codziennej straszliwie obniżono rangę reportażu, nie drukując go bądź zastępując formami nie mającymi z nim nic wspólnego. Każdego młodego człowieka, który przychodzi do redakcji na praktykę i trudni się układaniem wzmianek i komunikatów nazywa się „reporterem". Tymczasem nazwa ta zobowiązuje do podejmowania trudnych i pracochłonnych tematów a nade wszystko do przedstawiania ich w ambitnej i frapującej formie. No — ale początek zrobiono, sądzę więc, że i klimat wokół reportera i reportażu w prasie łódzkiej powinien się poprawić.

Dalszy ciąg ze str. 1

do której przyrównać można całe jego życie, najwyraźniej zaznaczyły się dwa momenty: gdy chodził po wodę na odległą Skierniewicką i gdy jego teść, z zawodu krawiec, na skutek kryzysu i zubożenia klientów szyjących sobie u niego ubrania od święta, musiał się przekwalifikować. Było to tuż po wojnie 1914—1918 roku, maszynę do szycia zamienił na rączkę od motoru tramwajowego. Na Szlezyngu całe pokolenia wydeptywały drogę do bliższych i dalszych studzien, woda łączyła bliższych i dalszych sąsiadów. Inne związki między ludźmi tworzyła tu praca. O świcie zwoływano się pod oknami, raźniej bowiem było przedzierać się przez ciemności kryjące miasto, do fabryk tonących jak wysepki na wielkim morzu. Ze Szlezyngu chodziło się i do Geyera na Górny Rynek, gdzie w latach czterdziestych ub. wieku znajdowało już pracę 700 ludzi, do Petersa na Rynku Fabrycznym (plac naokoło katedry), do Grohmanna (122 ludzi), Moesa przy Przędzalnianej (62 ludzi),do Landego na Kątnej (148 zatrudnionych).

Słabsze, mniej liczne powiązania tworzyły szkoły w Łodzi: szkoła powiatowa (8 nauczycieli i 100 uczniów), siedem szkół ludowych (razem 750 dzieci) i dwie szkoły niedzielne. Jeszcze mniej ugruntowanym terenem łączącym ludzi było ówczesne życie towarzyskie w mieście. Któż bowiem ze Szlezyngu trafił do „Meisterhausu" na Przejazd? Komu chciało się przedzierać przez błoto i zarośla do szynków czy zajazdów rozmieszczonych głównie przy Piotrkowskiej? Ze Szlezyngu chodziło się na Wodny Rynek, gdzie w Zielone Świątki odbywały się tradycyjne „Fajki". W Źródliskach strzelano do celu, taksowano młode i starsze żony łódzkch majstrów i fabrykantów, które w pogodne niedziele przybywały do „Angielskiego Ogrodu" w Kweli, by zademonstrować nowości ówczesnej mody. „Ogród Angielski" był prezentem miasta dla Scheiblera i jego atrakcyjność urosła znacznie, gdy Scheibler zwabiony przez burmistrza Traegera licznymi ulgami i wodą Jasieni, porzucił w 1855 roku posadę dyrektora schloesserowskiej przędzalni w Ozorkowie, by w nowo utworzonej dzielnicy rozpocząć karierę na terenie Łodzi. Z tego to okresu pochodzą parterowe domy Szlezyngu, często, zgodnie z życzaniem architektów rządu Królestwa Kongresowego, ozdobione mansardami, gankami i pilastrami.

* * *

Początki dzielnicy Ślązaki i późniejszy okres poprzez całe półwiecze aż do osatnich niemal lat dziewiętnastego wieku — to długi proces zachowywania odrębności narodowościowej Niemców zamieszkałych na Szlezyngu. Jeszcze przed pierwszą wojną były tu całe kwadraty i prostokątu ulic niepodzielnie zamieszkałych przez niemieckich tkaczy i przędzalników. Chociażby w kwadracie wyznaczonym przez ulice Milionową, Tatrzańską, Częstochowską i Zarzewską. Odrębność niemiecką umacniały bezsporne fakty. Po przybyciu ze Śląska Niemcy znajdowali pracę i chleb u niemieckich fabrykantów, którzy przez długie lata troszczyli się o to, by wśród przybyszów nie zaginęła niemieckość. Eisert, Scheibler, Grohmann, Geyer budowali szkoły dla niemieckich dzieci, patronowali niemieckim towarzystwom śpie-

Na Przędzalnianej, Wandy, Częstochowskiej...

waczym i strzeleckim, a i w pracy stosowali liczne przywileje wobec swoich ziomków.

Polskość na Szlezyngu umacniała swe wpływy w pierwszym okresie rozwoju dzielnicy przede wszystkim w oparciu o żywioł rolniczy otaczający Szlezyng od strony południowej. Od krzyża na rogu Tatrzańskiej i Zarzewskiej ciągnęły się włości Bartoszewskich i Gniotków, folwarki Słyśków. Dalej jeszcze na południe, na Dąbrowie aż do Młynka, osiadła rodzina Masłowskich. Przybywali oni w każdy wtorek i piątek, przywożąc na furmankach płody rolne. Pełno było w owe dni chłopskich wozów na Przędzalnianej, na Łęczyckiej i Zarzewskiej. Na tej ostatniej ulicy ciągnęły się niemal aż po cmentarz zarzewski jatki rzeźników. Właściciele ich kupowali od przybywających na targ chłopów bydło i nierogaciznę, bili na miejscu i od ręki sprzedawali robotnikom Zarzewa i Szlezyngu mięso i wędliny.

Żywioł polski rozrastał się jednak z biegiem lat, tworząc coraz silniejszą społeczność obok dość silnie zorganizowanej społeczności niemieckich majstrów i salowych, niemieckich webrów i rzemieślników z fabryk. Polacy nie dysponowali tak wielkimi środkami na rozwój różnych form życia społecznego i kulturalnego, ale przecież gdy na Skierniewickiej 5 stanęła niemiecka szkoła, wkrótce na tejże ulicy pod jedenastym rozpoczęto nauczanie dzieci polskich robotników ze Szlezyngu. Szkoła polska miała dwie klasy i mieściła się na piętrze prywatnego domu pana Wierzbickiego.

* * *

Spokój niemieckiego bytowania na Szlezyngu jednak raz po raz zakłócany był wydarzeniami z wielkiego świata. Gdy na przykład niemiecki major Preusker w pierwszych dniach wojny 1914—18 wsławiał się jako kat Kaliszu, rosyjska załoga Łodzi postanowiła wziąć odwet na Niemcach miejscowych. Na Targowym Rynku (dzisiejszy plac Dąbrowskiego), na Wodnym i na innych placach gromadzono zarekwirowany niemiecki majątek majstrów i fabrykantów. Zebrano setki powozów i bryczek, wozów i rolwag, piętrzyły się meble i pianina. Ten i ów tchórzliwy Niemiec, zaskoczony wściekłością odwetu żegnał Szlezyng, uciekając na zachód. Potem, gdy losy wojny rzuciły miasto w ręce niemieckie, nastąpiła fala powrotu. Ale przecież nie wszyscy wrócili z rajzy. Na ich miejsce, po wojnie przybyli nowi robotnicy — Polacy z bliższych i dalszych okolic, ze wsi podłódzkiej, z Piotrkowa, Skierniewic i Łowicza.

Druga wędrówka ludności niemieckiej nastąpiła po wojnie 1939—45. Była bardziej paniczna i liczniejsza, bo i piętno hitlerowskiej okupacji Łodzi zostawiło głębsze ślady w umysłach polskich, większe było więc wśród ludzi, którzy sprzyjali Hitlerowi, poczucie winy. Jednocześnie przecież historia owych tragicznych dni uczy, że w wielu domach przed wojną uważanych za zdecydowanie niemieckie, odezwał się protest przeciwko tyranii i gwałtom hitlerowskim, wielu mieszkańców Szlezyngu i innych łódzkich dzielnic nie podpisało ani volks — ani reichslisty. We wrześniu i później jeszcze okazało się, że współżycie dokonało asymilacji niemieckich webrów, że przestali się w decydujących momentach uważać za Niemców. Ten nurt asymilacyjny istniał — trzeba przyznać — nieprzerwanie i niezależnie od innego nurtu — izolacji od społeczności polskiej.

Ofiarą tej polityki współistnienia padł w pierwszych dniach września 1939 roku proboszcz parafii św. Anny na Szlezyngu, ks. Jacobi i dwóch innych księży. Jeszcze dziś mówi się na Szlezyngu, że u władz okupacyjnych zadenuncjował ks. Jacobiego dyrektor banku Tietz, mieszkający od „przedwojny" tuż przy kościele, na ul. Wandy 5 i bacznie obserwujący przez lata „odszczepieństwo narodowe" ks. Jacobiego. Księża od św. Anny poszli do Oświęcimia i nie odliczyli się już po wojnie.

* * *

Szlezyng i Zarzew od dawna były terenem ścierana się jeszcze innych sił. Od południa zagrażała dzielnicy wieś i uprawy. Doszły one z biegiem lat aż do Zarzewskiej, z czasem znacznie obszary przejęli ogrodnicy, bo tu, z prawej strony Zarzewskiej (idąc na Zarzew) ziemia była najlepsza. I chyba zarzewscy ogrodnicy pokazali drogę do kariery bogatemu Niemcowi Meissnerowi, który gdzieś w latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia wykupił znaczne tereny przy Zarzewskiej. Meissner nastawił się z miejsca na wielką gospodarkę rolną, ale w stylu nowoczesnym. Oprócz olbrzymich upraw zbożowych zajmował się młynarstwem i nawet piekarnictwem. Przez dwadzieścia z górą lat w całej Łodzi dobrej sławy zażywało pieczywo meissnerowskie. Wreszcie, wykorzystując dobrą passę budowlaną w Łodzi, buduje również cegielnie, stając się znanym daleko od Łodzi dostawcą materiałów budowlanych.

Ale gdy porósł w pióra, odezwała się w Meissnerze natura obszarnika-światowca. Buduje na rogu Zarzewskiej i Tatrzańskiej stylowy pałacyk, zakłada duży park. W niedziele i święta, w dni rodzinnych uroczystości, przez grząskie błota zarzewskiego traktu przebijały się od Górnego Rynku, od Księżego Młyna i nawet z okolic pod Łodzią, eleganckie powozy, zdążając do meissnerowskiego pałacyku na wystawne przyjęcia.

Z czasem i Meissnera opanowała bardzo popularna wśród niektórych niemieckich przemysłowców-realistów idea współżycia i współistnienia. Daje plac pod budowę kościółka na Szlezyngu, a rodzina Scheiblerów uzupełnia ten gest

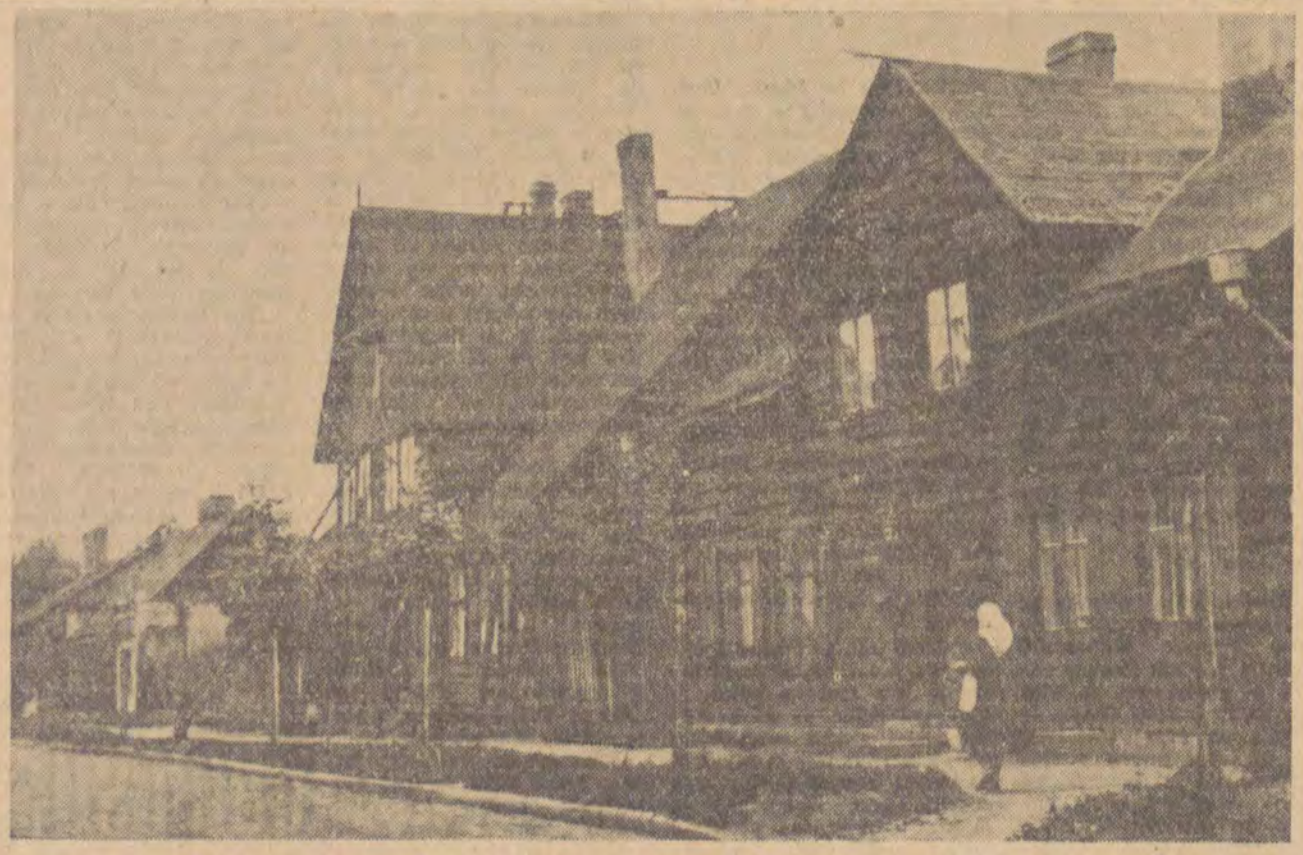

Stare domki przy ul. Łowickiej *Fot. M. Bączek*

własnymi gestami: dostarcza materiałów na budowę i... imienia przedwcześnie zmarłej Scheiblerówny, Anny, którym kościół nazwano. Darowizna na kościół była ostatnim dziełem starego Meissnera na Szlezyngu.

Po śmierci obszarnika synowie podzielili w pierwszych latach dwudziestego wieku cały majątek, częściowo go trwoniąc i zapuszczając. Nabywcy młyna założyli w roku 1921 fabrykę wyrobów wełnianych, ale wkrótce pożar zniszczył cały obiekt. Nowy właściciel podciągnął nieco mury wzwyż i rozpoczął tu produkcję tkanin technicznych i pasów. I ta produkcja przetrwała i do naszych czasów.

* * *

Wśród pewnej części mieszkańców Szlezyngu przetrwało obok pamięci o sile charakteru ks. Jacobiego również wspomnienie po ks. Wyrzykowskim, proboszczu tutejszej parafii z okresu międzywojennego. Musiał zresztą mieć ks. Wyrzykowski również pewne zasługi w oczach sanacji skoro właśnie jego imieniem, Wacława, nazwano w latach trzydziestych, oczywiście po śmierci księdza, cichą uliczkę na południe od kościółka. Niektórzy mieszkańcy wspominają to, co proboszcz od św. Anny uczynił w okresie rewolucji 1905—7 roku: w kościele i domu parafialnym służącym jako miejsce prób parafialnego chóru dawał schronienie łódzkim robotnikom, kryjącym się przed zaciekłością carskiej żandarmerii.

Dziś zaś, gdy spojrzysz na niewysoką wieżyczkę kościoła, gdy wchłoniesz ciszę otaczającą ulice Wandy czy Wacława nic ci nie powie o tym, że kilkadziesiąt lat temu wieżyczka, kościółek i sam ksiądz Wyrzykowski były centralnym punktem życia jego posłusznych „owieczek", choć przecież nie całej dzielnicy. Zabudowania kościelne przed pół wiekiem dominowały nad morzem parterowych domków, a na tle ubóstwa form, jakim dysponowało ówczesne życie publiczne dzielnicy, prawdziwym wydarzeniem były i próby chóru na plebanii. Bo jakie to było życie!

Wśród zabudowań przez całe dziesięciolecia niezmordowanie krążyły całe flugi srebrników, fajfrów i winerów. Zwłaszcza srebrniki i fajfry stanowiły ulubione ptactwo webrów i przędzalników. W wielu domach ładny lot ptaka był jedynym urozmaiceniem po wielogodzinnej zmianie w fabryce. Najbliższe kino, „Oświatówka" na Wodnym Rynku, gdy zzułeś obuwie dla wypoczynku nabrzmiałych przy maszynie nóg, było przecież i tak za daleko. Szlezyng musiał więc się zadowolić tym, co sam sobie stworzył, na co w swym osamotnieniu był skazany: „sześćdziesiąt sześć", kieliszek, gołębie.

Ale czy wszyscy na Szlezyngu pili, grali w karty i wyżywali się w hodowli gołębi? Bardziej uświadomieni mieszkańcy utrzymywali łączność ze światem — mimo oddalenia, fatalnego stanu ulic i ciemności, mimo opiekuńczej troski o owieczki ze strony proboszcza, który w rozpędzie społecznika w sutannie rad by zabrać człowiekowi każdą godzinę wolnego czasu. A to na zebranie, a to na lekcję psalmów. Bardziej rozgarnięci parafianie wymykali się spod skrzydeł proboszcza, chodzili na zebrania partyjne do miasta, trzymali rękę na pulsie wydarzeń.

Ruch robotniczy międzywojennej Łodzi nie był przez długie lata jednolity, a Szlezyng z tych lat jest klasycznym chyba przykładem rozproszkowania sił proletariackich. Miałeś tu przedstawicieli wszystkich ugrupowań i kierunków — od komunistów do endecji. Działali „Sokoli" i harcerze, miała swych zwolenników Chadecja i PPS. Komunistów, jak żyjący oceniają, było tu ze dwustu. Po czterdziestym piątym wielu się nie odliczyło, w pamięci jednak zapisało się do dziś jeszcze wiele nazwisk ludzi, którzy na Szlezyngu wiedzieli zawsze, gdzie jest słuszność, wiedzieli o co walczą, którzy znali imię wroga. Kto z nich pozostał? Koszarek (tkacz od Wolffsona na Milionowej), Weszczak, Gremplewicz (który poderwał do strajku w 1926 roku robotników scheiblerowskich na Księżym Młynie), Maszkowiecki, Kliber, Hajduk... Nie żyje już Gabara (siedział pewnie z dwadzieścia lat w ciągu swego steranego walką i buntem życia), zginął w Oświęcimiu Wrona.

Ale komuniści stanowili podziemny nurt międzywojennego Szlezyngu. Na powierzchni życia kulturalnego straszyła pustka, proboszcz i... sznajdra Rozhustany na sznurze szpinerskim kamień uczepiony w pętli był groźnym pociskiem na znaczną nawet odległość. Bitwy na sznajdry rozpoczęły się tu jeszcze przed rewolucją piątego roku. Cała niemal młodzież chodziła na zbrojne wyprawy na Chojny, Górniak czy na Widzew. Strona pobita szybko uzupełniała szeregi i wkrótce przez abszlegera przekazywała nowe wyzwanie. Gdy rozgorzała walka, gdy kamienie poczynały gwizdać nad głowami, nie było siły i autorytetu, które mogłyby przerwać zaciekłe zmagania. Nawet Kozacy nie dawali rady sznajdrzom a chłopi — zajęci robotą w polu i nagle zaskoczeni walką, nieraz w popłochu porzucali konie z pługami, ratując się ucieczką.

Bitwy na sznajdry stawały się coraz bardziej zawzięte, coraz groźniejsze dla przeciwników. Bywało, że zamiast kamienia w pętli znalazła się igła od przędzalniczego wrzeciona, bywało, że powietrze przeszywały i noże i widelce. Nie dziw, że po każdej rozprawie były ofiary, a szklarze nie mogli nadążyć ze szkleniem okien.

Ale tej namiętności nie oddawano się na Szlezyngu wiecznie. Powoli zaczęła ją wypierać piłka siatkowa i warcaby. Do piłki poczęła lgnąć młodzież, warcaby stały się namiętnością starszego pokolenia. Doszło nawet do tego, że kobiety klęły i przepędzały grających, bo na podwórkach zbierały się czasem prawdziwe tłumy kibiców, a chłopa do żadnej pomocy w gospodarstwie nie można się było w tych warunkach doprosić. Tak to na kilka lat przed drugą wojną światową sznajdra odeszła do lamusa i junackich wspomnień, wyparta chyba na zawsze przez piłkę i okrągłe kostki skaczące po szachownicy.

* * *

Ani w gazecie nie przeczytasz, ani w żadnym urzędzie nie usłyszysz dziś nazwy Szlezyng. Dzielnica wtopiła się bowiem administracyjnie w dzielnicę widzewską. Urbaniści łódzcy bezwzględnie obeszli się ze Szlezyngiem. Nazwali Szlezyng Zarzewem II w odróżnieniu od jego południowego sąsiada, Zarzewa I, któremu pierwszeństwo przyznali chyba tylko dlatego że nazwę swą zapożyczył od wsi położonej na południowym krańcu Widzewa i że nazwę „Szlezyng" jakoś trudno było im spolszczyć.

I tak postanowiono: stary historyczny Szlezyng, zasiedlany sto dwadzieścia lat temu przez napływową ludność ze Śląska wejdzie do historii dnia jutrzejszego, którą już dziś piszą urbaniści łódzcy — jako Zarzew II. Nic chyba na tym nie straci — a zyska wiele. Gdy ujrzysz małą drewnianą klitkę przytuloną do zabudowań pozostałych jeszcze po starym Meissnerze na rogu Tatrzańskiej i Przybyszewskiego, karykaturę ludzkiej żądzy posiadania własnego dachu nad głową o wymiarach trzy na dwa a wysoką też pewnie na dwa metry i aż dziw bierze — służącą jeszcze dziś ludziom za mieszkanie, gdy zerkniesz na wiekowy drewniak na Łęczyckiej, wstydliwie wtulony w zieleń ogródka, gdy zobaczysz ludzi niosących w wiaderkach wodę do prania z jednej ulicy na drugą — łatwiej zaufać urbanistom i architektom rysującym przyszłość tej dzielnicy. Łatwiej wybaczyć ludziom, którzy patrząc w najbliższą przyszłość nie widzą może całego piękna Szlezyngu i nazywają go już w swych pracowniach imieniem oderwanym od dnia wczorajszego tej bogatej w historię dzielnicy.

Z obrazu przyszłości wynika przede wszystkim taka prawda: Meissner i jego kariera to jednorazowe, niepowtarzalne wydarzenie. Bo jak twierdzą agrotechnicy, gleby okoliczne są już słabe i rolnictwo na południowym skraju dzielnicy przestanie się opłacać. To nie te czasy, panie Meissner! W latach 1961—65 zostanie tej słabej gleby jeszcze 2.615 hektarów, ale już w tym okresie proces wydzierania ziemi na potrzeby budownictwa zacznie się na dobre. Na 45 hektarach zarzewskiej ziemi staną osiedla mieszkaniowe, w rejonie ulic Przędzalnianej, Przybyszewskiego, Łęczyckiej i Łowickiej. Nie wszystkie zostaną ukończone przed 1965 rokiem, ale przecież tylko w tym czasie ludność dzielnicy wzrośnie do 33 tysięcy.

Jeśli uwzględnić przyrost naturalny — to i tak okaże się, że do dzielnicy przybędzie kilka tysięcy ludzi zupełnie nowych, z zewnątrz. Trzeba będzie uczyć ich historii przeszło stu dwudziestoletniej. Trzeba będzie tym ludziom przypomnieć, że w roku 1961 pewna kobieta korzystając ze spotkań z kandydatami na radnych, prosiła o „podwyższenie sufitu i okien w domu na Łęczyckiej 32". Bo te okna i sufit chyliły się ku ziemi przez całe dziesięciolecia i nikt tego niszczycielskiego procesu nawet nie dostrzegał.

Rozmach pójdzie jeszcze dalej — nadejdzie moment, gdy aż czterdzieści tysięcy ludzi zamieszka w obu Zarzewach w nowych zupełnie domach. Gdy zaś porównać tempo narastania przeman Szlezyngu i Zarzewa w ciągu długich dziesięcioleci ze śmiałością kreślącą dziś obraz najbliższych już pięciu, dziesięciu lat, dochodzi się do wniosku, że te stare kąty Łodzi czeka prawdziwa rewolucja. Jej ofiarą padnie jednak i historia. Kilkadziesiąt domków przeważnie drewnianych, stanowiących o egzotyce dnia wczorajszego, będzie rozebranych, a dwa tysiące ludzi z tych ruder zamieszka w nowych domach. I tylko na wyremontowanie starych domów miasto wyda tutaj 133 miliony zł w ciągu pięciu lat. Jest to z pewnością więcej, niż kwota, jaką w ciągu lat czterdziestu wydali na cele komunalne w całym mieście Scheiblerzy, pragnący jak wiadomo usprawiedliwić coroczną grabież milionów rubli, wypracowanych dziesiątkami tysięcy rąk.

Rolnictwo cofnie się więc aż ku Dąbrowie. Między innymi i dlatego, że piłka siatkowa na podwórkach ulic Częstochowskiej, Wandy czy Łowickiej nie będzie już mogła zaspokoić aspiracji młodych ludzi z obu połączonych dzielnic. Ani warcaby. Młodzi ludzie otrzymają warunki na miarę czasu, w którym wzrastają: na 10 hektarach rozciągać się będą tereny służące sportowi i kulturze fizycznej. I może spadnie również przy tej okazji spożycie alkoholu wśród mieszkańców: na powietrzu, gdy płuca pracują normalnie, gdy serce otrzymuje dostateczną ilość tlenu, krew nie kipi pragnieniem, usta nie szukają kieliszka.

— Są rodziny, w których pije się z dziada pradziada... Mówił to człowiek zamieszkały tu od dawna. Z rozrzewnieniem wspominał romantykę lat swej młodości, biedę dzielnicy zabitej deskami, ale i wyraźnie cierpiał, ilekroć w czasie naszej wędrówki napotykaliśmy tego wieczoru ludzi ledwo trzymających się na nogach i bluźniących na czym świat stoi. Był to zresztą dzień wypłaty, w domach czekały żony na pieniądze, do miasta i jakichkolwiek ambicji daleko, jak więc ubarwić szarość tygodnia? Ale dzielnica zmieni oblicze, wraz z tymi zmianami człowiek wykształci w sobie nawyki, inaczej będzie wykorzystywał czas. Pomoże i tramwaj, który przetnie dzielnicę z południa na północ i kino dzielnicowe, kilka restauracji i kawiarń.

W ofensywie, która już wkrótce osaczy tu ludzkie osamotnienie nie zabraknie i książek, przybędzie ich w bibliotekach i wypożyczalniach, za lat kilka już łatwiej tu będzie leczyć schorowaną wątrobę i zęby. Nowe szkoły, nowe sklepy, wiele warsztatów rzemieślniczych dla zaspokojenia codziennych zwykłych potrzeb w domowym gospodarstwie. Zblednie więc może do tej pory żywa jeszcze w pamięci mieszkańców sława Zydkego, który przed przeszło pół wiekiem prowadził na rogu Przędzalnianej i Rawskiej przedsiębiorstwo o bardzo osobliwym połączeniu branż. Był to bowiem i trumniarz i fryzjer jednocześnie. Bywało, że rodzina zmarłego po ubiciu interesu i zamówieniu trumny siadała u pana Zydkego do golenia i strzyżenia. Bywało też, że szef wysyłał do domu żałoby swego pomocnika, by ten ogolił i przypudrował zmarłego twarz na ostatnią drogę na zarzewski cmentarz. Przedsiębiorstwo pozostało w rodzinie. Syn Zydkego co prawda prowadzi już tylko jedną branżę — sprzedaje trumny na Skierniewickiej, a z fryzjerstwa nieodwołalnie zrezygnował.

Gdyby poprosić grafika, by na podstawie wspomnień, starych fotografii i tego, co zachowało się po dzień dzisiejszy narysował panoramę starego Szlezyngu i Zarzewa — panorama ta na tle obrazu najbliższej przyszłości robiłaby wrażenie teatralnych dekoracji. Bo znikną tu nawet ostatnie latarnie gazowe. Jaśniej będzie na wielu uliczkach, po których przez długie lata tłukły się cienie i lęgło zło. Rozjarzy się wreszcie światłami ulica Milionowa, nazwana tak przez tych, którym nieustanny klekot krosien i szum przędzalniczych maszyn przynosił grube miliony. Ten symbol ulicy Milionowej nie przetrwał jednak stulecia.

Gdzieś, w latach trzydziestych naszego wieku nagle pierzchnął z ludzkiej wyobraźni. Nowej brutalnej treści dostarczył skojarzeniom Łaniucha, osławiony morderca Tyszerów, właściciel składu fortepianów z Piotrkowskiej 117. Tutaj, na Milionowej, pod osłoną nocy niczym nie zakłóconej grzebał w polu jedną ze swych ofiar...

* * *

W kwadracie między Widzewem i Dąbrową, między Górniakiem i szosą prowadzącą do Tomaszowa robotnicy i inżynierowie tworzą już nową historię dzielnicy. Wessała ona piękno przeszłości, echa walk, głód i łzy, gruźlicę twórców prymitywnej architektury, losy pokoleń krwawym mozołem budujących potęgę Scheiblerów i Grohmannów. Oczy przyszłych mieszkańców nowoczesnych bloków na Tatrzańskiej czy Przybyszewskiego, oczy dzieci tak nieprzywykłe do oglądania złej przeszłości naszego miasta — rozszerzać się będą zdziwieniem na widok tego, co jeszcze zostanie. Nikłe i ciche, zagubione w jasnych kształtach nowego życia, wśród innych, odmienionych ludzi snuć się będą jeszcze cienie półtorawiecznego Szlezyngu...

FELIKS BĄBOL

Arystarch

20 lipca 1944 r.

„Generałowie PRZECIWKO Hitlerowi"

Dramatyczna atmosfera panowała w dniu 20 lipca 1944 roku w paryskim hotelu „Majestic", w którym mieściły się eleganckie apartamenty urzędów administracyjnych gubernatora wojskowego we Francji generała Karla Heinricha Stulpnagla. Około dwudziestu wtajemniczonych oficerów ze sztabu generała z pułkownikiem von Hofackerem oczekiwało z niecierpliwością na wiadomości z Prus Wschodnich (gdzie — jak wiadomo — został dokonany zamach na Hitlera).

Generał Stulpnagel zachowywał kamienny spokój i nic nie wskazywało na trawiące go zdenerwowanie. Tylko gdy jego sekretarka osobista, hrabina Podewils prosiła o zwolnienie na godzinę, celem udania się do lekarza-dentysty, — generał zmarszczył brwi, lecz natychmiast odzyskał panowanie nad sobą i skinieniem głowy wyraził milcząco zgodę.

W czasie obiadu w ścisłym gronie w hotelu Raphael generał znany jako świetny causer, tym razem

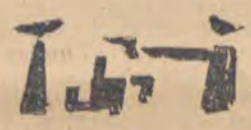

spożywał posiłek w milczeniu i zdawał się być roztargniony.

O czwartej po południu przyszła nareszcie oczekiwana wiadomość. Przywódca spiskowców Stauffenberg telefonował z Berlina do Paryża do pułkownika von Hofackera: „Hitler, Goering i Himmler nie żyją. Eksplozja bomby była straszna w skutkach".

Pułkownik natychmiast przekazał wiadomość swemu generałowi. Von Stulpnagel uścisnął w milczeniu ręce von Hofackera. — Rodzą się nowe Niemcy! — powiedział ten ostatni.

W poczekalni generała zbiera się gromadka najwierniejszych. Ktoś niewtajemniczony pozdrawia obecnych: — Heil Hitler!

Ktoś wybucha śmiechem.

W gabinecie von Stulpnagel przyjmuje komendanta wojskowego Paryża. Stojąc za biurkiem generał oświadcza lakonicznie: — W Berlinie doszło do zamachu stanu. Führer nie żyje. Rozkazuję natychmiast aresztować oficerów SS.

Generał przekroczył Rubikon i przystąpił jawnie do buntu.

Około szóstej telefon z Berlina od generała Becka, jednego z najzacieklejszych przeciwników Hitlera: — Stulpnagel, zna pan niewątpliwie ostatnie wiadomości.

— Tak.

— Wobec tego, zapytuję po prostu, czy jest pan z nami.

— Czekam tylko na okazję, generale — odpowiada Stulpnagel.

— Dokonano zamachu, ale nie mamy jeszcze dokładnych danych. Czy będzie pan z nami bez względu na to, co się zdarzy?

— Wydałem rozkaz zamknięcia pod kluczem wszystkich oficerów SS — odpowiada gubernator wojskowy Francji.

Beck daje do zrozumienia Stulpnaglowi, że nie jest jeszcze ustalone, co się stało w kwaterze głównej Hitlera. — W każdym razie — dodaje — kości zostały rzucone i już nie ma odwrotu.

— Jestem z wami — powtarza Stulpnagel — i dotrzymam słowa.

— Co zrobi Kluge? — zapytuje Beck (feldmarszałek von Kluge jako dowódca armii Zachód był bezpośrednim zwierzchnikiem Stulpnagla), daradzając, żeby gubernator porozumiał się niezwłocznie ze swym szefem. Była to ostatnia rozmowa przyjaciół-episkowców. Wkrótce potem generał Ludwig von Beck popełnił samobójstwo.

Godzina 18 min. 15. Generał Speidel szef sztabu feldmarszałka von Kluge przekazuje gubernatorowi rozkaz natychmiastowego przybycia do kwatery feldmarszałka w De la Roche-Guyon.

Dowódca armii Zachód przyjmuje gubernatora i von Hofackera ze zwykłą, właściwą mu pruską sztywnością i wysłuchuje w milczeniu, nie przerywając, entuzjastycznego referatu Hofackera o dokonanym zamachu na Hitlera. Milczenie, i to uporczywe feldmarszałka stwarza nieznośną atmosferę. Hofacker nie poddaje się temu nastrojowi i referuje dalej z zapałem:

— Nie ma znaczenia, co się dzieje obecnie w Berlinie — mówi — patrząc Klugemu prosto w oczy. — Ważne są decyzje, jakie podejmujemy tutaj we Francji. Apeluję do pana, marszałku, ażebyś pan w interesie naszego kraju wziął w rękę kierownictwo na Zachodzie i położył koniec wojnie zawierając rozejm.

Ten gorący apel nie wywiera na feldmarszałku żadnego wrażenia, pozostaje niewzruszony i odpowiada z lodowatym spokojem: — Meine Herren, zamach się nie udał.

Stulpnagel czerwieni się i blednie. — Marszałku, sądziłem, że pan był au courant rozgrywających się wypadków?

— Nic podobnego — replikuje sucho von Kluge. Staje się oczywiste, że feldmarszałek znajduje się w obozie przeciwników ruchu wyzwolenia od tyranii Hitlera.

Stulpnagel sprawia wrażenie człowieka, który się dusi. Wychodzi na taras z myślą: „To już koniec!" Przepaść otworzyła mu się pod nogami.

Tymczasem von Kluge, jak by nic się nie stało, zaprasza, jak na spotkaniu towarzyskim: — Meine Herren, proszę panów do stołu!

W czasie kolacji feldmarszałek opowiada z ożywieniem o swych przeżyciach frontowych podtrzymując rozmowę i zadając pytania, na które Hofacker i gubernator wojskowy odpowiadają monosylabami.

Nagle Stulpnagel zwraca się do Klugego: — Chciał-

Dalszy ciąg na str. 6

„Generałowie przeciwko Hitlerowi"

Dalszy ciąg ze str. 5

bym porozmawiać jeszcze z panem marszałkiem na osobności.

Feldmarszałek wstaje i wskazuje w milczeniu na drzwi. Przy stole zostaje Hofacker i adiutant. Po chwili drzwi otwierają się gwałtownie. — Blumentritt! — wrzeszczy von Kluge. — Z rozkazu Stulpnagla zostali zaaresztowani oficerowie SS. Wydał on ten rozkaz przed opuszczeniem Paryża bez odniesienia się do mnie jako do zwierzchnika. To akt niesubordynacji. Rozkazuję zatelefonować w tej chwili — wrzeszczy czerwony z wściekłości — do Paryża i odwołać rozkaz.

Adiutant udaje się do telefonu i niebawem wraca z wiadomością, że jest już za późno. Rozkaz został wykonany.

Dowódca armii zachodniej nie posiada się z oburzenia. — Dlaczego się pan nie poradził?

— Nie mogłem uzyskać połączenia ani z panem ani z adiutantem — brzmi odpowiedź.

Von Kluge zaprasza do zajęcia z powrotem miejsc przy stole. Tym razem on

milczy starannie aż do końca posiłku.

Jest godzina dwudziesta trzecia, gdy posępni biesiadnicy wstają od stołu. — Niech pan wraca natychmiast do Paryża i uwolni wszystkich, których pan aresztował — rozkazuje dowódca armii Zachód.

— To niemożliwe — pada odpowiedź. — Nie możemy się już cofnąć.

Panie marszałku — apeluje Hofacker — pańskie słowo i honor wchodzą w grę. Honor całej armii i los milionów Niemców leży w pańskich rękach.

Apel pozostaje bez echa. Odpowiedź feldmarszałka zabrzmiała cynicznie i Hofacker powtarzał ją swym przyjaciołom paryskim: — Ba, gdyby szubrawiec nie żył. — W ten sposób von Kluge przypomniał, że obiecał pomoc tylko na wypadek gdyby zamach się udał. A teraz rozkazuje: — Niech się pan uważa, generale Stulpnagel, za zawieszonego w czynnościach.

Jednakże odprowadza gubernatora wojskowego aż do drzwi, a nawet do marmurowych schodów, a nawet do czekającego nań samochodu i po drodze doradza ściszonym głosem: — Niech się pan przebierze w cywilne ubranie i niech się pan ukrywa.

Von Stulpnagel nie skorzystał z dobrej rady. Wróciwszy po północy do Paryża, udzielił oczekującym go z niepokojem spiskowcom wymijającej i kłamliwej odpowiedzi: — Feldmarszałek zastrzegł sobie termin do godziny dziewiątej rano co do powzięcia decyzji.

Nie zdążyły jeszcze przebrzmieć ostatnie słowa, gdy w radioodbiorniku rozlega się zapowiedź: — Uwaga! Uwaga! Będzie mówił Führer!

Piorun z jasnego nieba. Każde słowo Hitlera jest jak cios maczugą spadającą na głowy spiskowców: — Klika ambitnych oficerów, zbrodniarzy i głupców... Banda złoczyńców, którzy zostaną zlikwidowani bez pardonu... Znak Opatrzności (która go wyratowała z opresji — uwaga autora) wskazał mi, gdzie jest mój obowiązek i ja ten obowiązek wypełnię do końca.

Stulpnagel usłyszał wyrok na siebie.

Nazajutrz o dziewiątej rano otrzymał telefoniczny rozkaz stawienia się w Berlinie do raportu drogą lotniczą. Nie skorzystał jednak z generalskiej awionetki i podziękował za towarzystwo swemu adiutantowi. Pożegnawszy się serdecznie ze swą sekretarką hrabiną Podewils udał się w drogę samochodem z sierżantem i szoferem.

— Kierunek: Paryż — Metz — Verdun! — brzmiał rozkaz generała.

Pod Verdun gubernator z mapą na kolanach rozkazuje zmienić kierunek i samochód bierze kurs na Sedan. Tutaj, na północ od Verdun rozciągają się pola bitewne morderczych walk z czasów pierwszej wojny światowej. To było chyba celem generała? Widząc wznoszącą się kostnicę w Dunaumont może zadawał sobie pytanie, czy hekatomba setek tysięcy Francuzów i Niemców, których krew wsiąkła w te ziemie na polach bitew, była daremna? I tu zapewne powziął decyzję. Na kilometr przed Vacherauville generał wysiada z wozu i wydaje rozkaz szoferowi kontynuowania jazdy do najbliższej wsi i oczekiwania go tam. — Chcę trochę rozprostować nogi — tłumaczy.

Rozkaz wydaje się dziwny szoferowi i sierżantowi w okolicy pełnej partyzantów, to też na najbliższym zakręcie zatrzymują wóz i udają się na poszukiwanie generała.

Nagle wystrzał przerywa ciszę doliny. Zdjęci złym przeczuciem szofer i sierżant biegną w poszukiwaniu swego zwierzchnika i po dziesięciu minutach poszukiwań znajdują Stulpnagla krwawiącego z raną głowy od kuli, od której wypłynęło oko. Po przewiezieniu do szpitala wojskowego i po operacji zapada orzeczenie lekarskie: generał utracił wzrok na zawsze.

— Czy nie byłoby ludzkie — zapytują chirurgów przyjaciele Stulpnagla — pozwolić umrzeć człowiekowi oślepionemu w tak okrutny sposób?

Ale doktorom nie wolno wybrać tej drogi: sprawiedliwość Trzeciej Rzeszy była nieludzka i okrutna w tych wypadkach i nie znała w takich okolicznościach eutanazji.

Zemsta Hiltera na spiskowcach za zamach w dniu 20 lipca 1944 roku była straszna. Nic nie mogło być dla nich okolicznością łagodzącą, ani dawne zasługi ani intencje przyspieszenia końca wojny.

Sprowadzony do Paryża oślepiony generał został postawiony przed Trybunałem Ludowym i wraz z innymi spiskowcami paryskimi skazany przez sąd na śmierć przez powieszenie.

Wyrok wykonano 30 sierpnia 1944 roku na dziedzińcu więzienia Plotzensee pod Berlinem.

Na podstawie materiałów francuskich tłumaczył i opracował

Arystarch

Scena z „Ballady górniczej" — Rudolfa Haros *Fot. L. Anfal*

TADEUSZ SABARA

GOŚCIE Z PECS

Szedłem na pierwsze przedstawienie naszych węgierskich gości z niejakimi obawami. Jak zabrzmi w uszach współczesnego widza ta tragedia antyczna sprzed dwu i pół tysiąca lat? Czy teatr — poza muzealną, choć piękną, wazą starogrecką na białej kolumnie — będzie w stanie pokazać coś więcej? I czy w ogóle obrazy malowane na tej „wazie" ożyją dzisiaj w świetle reflektorów? Bo cóż to za obrazy: historia zdradzonej żony, jej nienawiści i zemsty... Historia rysowana wielkimi monologami recytatorskimi przez osoby pojawiające się na scenie, gdzie każdy zamiar i każdy czyn jest ujawniany nim się dokona i komentowany przez Chór.

Ferenc Katona, reżyser sztu-

ki, oparł swoją koncepcję „Medei" na walorach dramatycznych słowa: od bardzo ludzkich, intymnych szeptów do rozdzierającego krzyku przywołującego bogów na świadków — rozgrywa się dramat. Recytacja jest niemal statyczna i tylko w momentach węzłowych akcji dramatycznej od-

bywa się wyraźniejszy ruch postaci scenicznych.

Eva Spanyik wydała mi się bardziej mityczną postacią niesamowitej czarodziejki z Kolchidy niż zdradzoną żoną. Swą grą podkreśliła tragizm heroiczny Medei, mniej uwypuklając tragizm ludzki. Przez chwilę wątpiłem w słuszność tej interpretacji. Zrozumiałem ją dopiero w końcowej scenie po zamordowaniu przez Medeę własnych dzieci. Medea jawi się centralnie, na szczycie schodów, w snopie bladego światła, w złocistej szacie, jakby potężna złota śmierć, czy też przeczucie śmierci (dla Jazona). Jest wydzielona ze świata ludzi, beznamiętna, — staje się wykładnikiem Absolutu-Sprawiedliwości.

Na przeciwstawnych tonach kameralnej intymności zagrał swą rolę Gyorgy Banffy. Jego Jazon jest bardziej realistyczny, a przez to bardziej ludzki. Jako syn królewski chce odzyskać władzę, to wszystko. Nie szałem miłosnym, lecz wyrachowaniem usprawiedliwia swoją zdradę. Nie mamy powodu mu nie wierzyć. Kiedy, chcąc ratować swoje dzieci, dowiaduje się o dokonanym morderstwie — przeżywa osobistą tragedię i budzi współczucie. I oto „Medea" — tragedia kobiecej zemsty — staje się niespodziewanie — tragedią karierowicza!

Wypada rzec jeszcze słowo o chórze niewiast korynckich. Ten chór podobał mi się bardzo. Jako partner — świadek dyskretnie brał udział w akcji

i był rozłożony na głosy. A Przodownica — pani Olga Kóós — była doskonała: była w tej roli syntezą dojrzałej mądrości, kultury, ciepła i bolesnego zadumania nad ludzkim losem.

* * *

Upłynęło dużo burzliwej wody od chwili, kiedy to „Figaro" brzmiał rewolucyjnie. Dzisiaj rzuca się już ostrzejszymi słowami i — rakietami. Stąd:

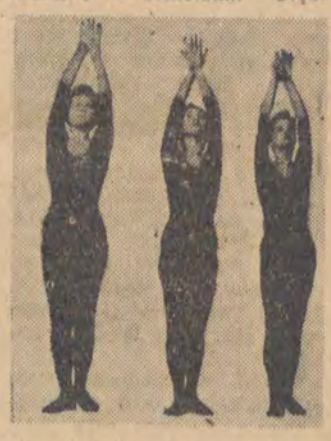

robienie poważnej miny do nie poważnej gry jest śmieszne. Całe szczęście, że pan Ferenc Lendvay nie zrobił poważnej miny, lecz filuternie przymknął oko. I ta: zamiast spektaklu „naukowego" — czyli „odzwierciedlenia stosunków ekonomiczno - społecznych z czasów Beaumarchais" — otrzymaliśmy wieczór wesołej zabawy. Momenty poważniejsze i liryczne rozmijały się jak bańki mydlane o pomysłową grę rekwizytów.

Wśród wielu zabawnych sytuacji nie brakło też błazenady rodem z komedii dell'arte i bezpośredniej rozmowy aktora z widownią. I jeżeli czegoś zabrakło — to lżejszej, bardziej „szampańskiej" dekoracji, no i — ołówka reżyserskiego: byłoby krócej i jeszcze zabawniej.

I znów zobaczyliśmy Olgę Koós, tym razem w roli Rozyny. Do inteligencji i kultury doszło poczucie humoru. Żywa, pełna temperamentu, jak ogień bengalski na ludowej zabawie, była Agi Margittai — Zuzia. No i Figaro — Otto Szabo...

Teatr z Pecs, mimo woli, zabrał głos w toczącej się na łamach łódzkiej prasy dyskusji o repertuarze. Zapominamy, jak się okazuje, o starej prawdzie że nawet bardzo stara, czy też pozornie nieaktualna — i jak niektórzy mówią — „zmurszała rzecz" może zabrzmieć świeżo i współcześnie, może też zabawić. Okazuje się więc, że nie zawsze w repertuarze jest „pies pogrzebany".

Scena z baletu „1514" — György Ranki *Fot. L. Anfal*

ROZMOWY O POLITYCE KULTURALNEJ

TEATR czy TEATRZYK?

KRYSTYNA WOJTASIK

W toku dyskusji o repertuarze scen łódzkich, toczącej się na łamach „Odgłosów" (i nie tylko), najwięcej cięgów „oberwał" teatr 7.15. Wytykano temu teatrowi brak konsekwencji oraz rozbieżność z „profilem" przynależnym tej scenie, a wypieszczonym ponoć od dawna w sercach łodzian. Czyli, innymi słowy, nieliczenie się z publicznością...

Rzecz polega jednak na tym czy: 1-o brak konsekwencji w doborze repertuaru nie był w jakiś sposób uzasadniony, 2-o należy narzucać profil teatrowi, najwyraźniej wbrew jego chęciom, predyspozycjom i możliwościom, 3-o czy ów „profil" (rewiowo-satyryczno-składankowy) jest akurat najwłaściwszy.

TAJNIKI NIEKONSEKWENCJI

Wydaje mi się, iż owa tak atakowana niekonsekwencja polityki repertuarowej teatru 7.15 jest w pewnej mierze ceną (słoną), jaką zapłacił dyr. Kłosiński za swoją chęć przekształcenia dotychczasowego teatrzyku 7.15 w teatr 7.15, jest wynikiem próby „przemycenia" pozycji wartościowych, trudniejszych. I chyba chodziło tu nie tylko o to, że żaden kierownik artystyczny teatru, kierownik z prawdziwego zdarzenia, jakim jest niewątpliwie Kłosiński, nie wyrzeknie się swych ambicji artystycznych, swego widzenia roli i zadań teatru, jako placówki rzeczywiście kulturalno-wychowawczej, za cenę konsekwencji repertuarowej, ale również i o to, aby dotychczasową publiczność teatru 7.15, przyzwyczajoną do „zgoła innych wrażeń", oswoić ze sztuką przez duże S. Newątpliwie taką ambitną i trudną pozycją jaką pokazał teatr 7.15 w ostatnim sezonie była „Śmierć Tarielkina", spektakl który ściągnął najwięcej gromów na głowę Kłosińskiego, ponieważ absolutnie nie pasował do aplikowanego jego teatrowi genre'u, a ponadto stał się klęską frekwencyjną, (a tym samym i finansową). Widz, ten widz szukający w progach „swego" teatru wrażeń z „czasów jego świetności" (jak napisał jeden z dyskutantów na innych łamach, obdarzony widać nieszczególną pamięcią) czyli z epoki „Wio, dywaniku", zaskoczony i zawiedziony, zbojkotował „Tarielkina". W konsekwencji część dotychczasowej publiczności odpłynęła, część została, przybyło trochę nowej, tej bardziej wybrednej. Czyli nie stało się najlepiej. Eksperyment był zbyt pochopny, dyr. Kłosiński nie wybrał na pewno najwłaściwszego tworzywa do eksperymentowania na swym widzu, zbyt mu zaufał. Tłumaczy go jedno: wystawiając „Śmierć Tarielkina" miał na względzie udział w trylogii Suchowo-Kobylina, której dwie pozostałe części („Sprawę" i „Małżeństwo Kreczyńskiego") podjęły się wystawić w tym sezonie teatry Nowy i Jaracza. Jak dotąd nie wywiązały się z tego zadania. Kłosiński, wygląda na to, został nieco „nabrany".

O ile za „Obronę Ksantypy" i „Śmierć Tarielkina" dostały się teatrowi 7.15 cięgi z powodu zbyt wybujałych i nie przemyślanych ambicji, o tyle zaatakowano go z wręcz odwrotnych przyczyn za „Zagłobę swatem". Olśniewająca wręcz frekwencja (nie notowana nawet w czasach świetności, czyli „Uwaga, kręcimy") nie była oczywiście usprawiedliwieniem dla wzięcia na warsztat tej słabej sztuczki. Usprawiedliwieniem może być natomiast co innego: ogromne powodzenie „Zagłoby" wśród młodzieży szkolnej, której trafiła się niesłychana gratka — wystawiono dla niej sztukę (może nawet mimo woli) w prawdziwym teatrze. Sądzę, że ten ewenement godny jest odnotowania.

Dyr. Kłosińskiego zaatakowano jeszcze z innej strony. Bajkę dla dzieci, którą wystawił, uznał recenzent za „nikomu nie przysparzającą laurów". Może recenzent nie zauważył, że teksty do tej bajki zaczerpnięto z utworów Mickiewicza, Tuwima, Brzechwy, z „Pastorałek" Leona Schillera. Gwoli ścisłości odnotujmy i ten szczegół.

RUPIECIARNIA?

Słowo to brzmi może zbyt mocno, ale jakoś narzuca się samo w związku z częstymi wypowiedziami dyskutantów, brzmiącymi mniej więcej tak: „Szmirowata sztuczka? Błahostka? Mało warte? Ależ to się w takim razie świetnie nadaje do teatru 7.15! Albo: „Kocha, lubi, szanuje" Ależ ja to widzę wyłącznie na scenie teatru 7.15!

Wygląda na to, że jeśli jakaś pozycja przynosi ujmę tej czy innej scenie należy ją czym prędzej przemieść na ul. Traugutta.

Czyż w ten sposób wolno dyskutantom i krytykom w imieniu opinii publicznej „tworzyć profil" teatru 7.15? Czy wolno go tak — powiedzmy wprost — upokarzać? Przepraszam panowie — może powiedzieć dyr. Kłosiński — ale dlaczego właśnie ja mam przygarniać wszelką tandetę spod znaku lżejszej muzy, wbrew memu artystycznemu sumieniu, ambicjom zespołu aktorskiego i ze szkodą dla mojej widowni, tylko dlatego, że wy tak sobie wyobrażacie profil teatru 7.15? Ostatecznie każdy kierownik artystyczny teatru ma prawo do własnej twarzy.

Cóż, kiedy na scenie przy ul. Traugutta ciąży piętno tradycji, rzeczywiście świetnej tradycji z czasów „Syreny". „Syrena" szybko wyemigrowała do Warszawy, ale tradycja została, tradycja satyryczno-składankowa. Kolejni i liczni dyrektorzy, poprzednicy Kłosińskiego, starali się ją utrzymać. On pierwszy machnął karkołomnego kozła repertuarowego. A wśród poprzedników Kłosińskiego byli przecież i dobrzy fachowcy. A jednak nie potrafili z tej scenki dobrego teatru wykrzesać. Zawsze pozostawała ona na marginesie teatralnej Łodzi.

Może właśnie sprawił to tradycyjny lekki repertuar, nie mogący w pełni zaspokoić ambicji prawdziwych ludzi teatru? Może dość słaby zespół aktorski? Dlaczego nie potrafiono nigdy zwerbować do tego teatru wybitnych, atrakcyjnych aktorów? Dlaczego nie potrafiono wylansować swoich gwiazd?

Bo i obecnie Kłosiński ma kłopoty z zespołem. Najlepszy jego aktor, G. Lutkiewicz, emigruje do Krakowa. Przyjdą nowi, często młodzi, o których jeszcze nic nie wiadomo. A przecież w znacznej mierze możliwości zespołu aktorskiego determinują i dobór repertuaru i jego realizację, w tym i repertuaru przyszłorocznego. W repertuarze tym przewiduje się dwie pozycje p. t. „składanka satyryczna".

SKŁADANKA — IDEAŁEM?

A więc wreszcie! Zgodnie z gorącymi życzeniami i zamówieniem opinii publicznej łódzcy i pozałódzcy satyrycy dadzą nam tę upragnioną strawę duchową. Sądzę jednak, że do tego wydarzenia należałoby ustosunkować się z odrobiną rezerwy, lepiej bowiem rozczarować się przyjemnie. Miejmy nadzieję, że do naszych rodzimych twórców satyrycznych i do przyszłych programów składankowych teatru 7.15 nie będą stosować się poniższe słowa (zacytowane tutaj za „Nową Kulturą"), odnoszące się do warszawskiego teatru Buffo, a świadczące o kryzysie tego typu programów: „Ostatni program Buffo jest znów klęską tego teatru — klęską tym dotkliwszą, że pomyślano go ofensywnie, zbierając teksty od naszych najwybitniejszych (jakoby) satyryków — Gozdawy, Stępnia, Marianowicza, Minkiewicza, Osęki, że zaangażowano do niego wszystkie najsławniejsze gwiazdy naszej estrady... A może by tak, mili producenci rozrywki, spojrzeć nieco surowiej na swą własną twórczość? Może by zastanowić się dlaczego w tym programie tak często pojawiają się słowa „zupa" i „lupa"?

Tyle o Warszawie. My mamy nadzieję, że u nas będzie lepiej. Jest tylko jeden szkopuł: w przeciwieństwie do Warszawy nie posiadamy, konkretnie w teatrze 7.15, „najsławniejszych gwiazd estrady", nie posiadamy nawet tych mniej sławnych. Są to w znakomitej większości aktorzy dramatyczni, a jedna Jadwiga Andrzejewska (aktorka i dramatyczna i estradowa) nie ratuje sytuacji. Może warto i nad tym problemem w porę się zastanowić.

Przyszłoroczny repertuar teatru 7,15 został oddany do zatwierdzenia. Przeważają w nim pozycje lekkie, widnieje „kryminał", a nawet grozi nam „Czarny kotek" Campaux (co prawda umieszczony został w „rezerwie").

Wygląda więc na to, że Kłosiński, jeśli wolno tak rzec, nieco się ustatkował. W zaplanowanym repertuarze nie ma ani jednej pozycji niekomediowej. Teatr 7,15 schylił głowę przed ogólnołódzką polityką repertuarową i zrezygnował z własnych ambicji.

Zresztą nie po raz pierwszy. Bowiem ze względu na trudności finansowe i personalne musiał zrezygnować z zapowiadanego oficjalnie „Szkicownika teatralnego". „Szkicownik", dawany raz w tygodniu po właściwym spektaklu miał obejmować jednoaktówki współczesnych pisarzy polskich i obcych. Niestety, ten ciekawy i pożyteczny projekt spalił na panewce. Szkicownik ujrzy za to zapewne światło kinkietów w „Pstrągu".

Może jednak nie byłoby najgorszym pomysłem, taki szkicownik teatralny umieścić na dobre i na stałe na deskach teatru 7.15. Już przede mną przecież napisał Karol Obidniak, że „teatr 7.15 nadaje się wyłącznie na teatr kameralny, teatr małych form, teatr reżysera i aktora". Dodam od siebie — na teatr eksperymentalny.

Scena ze sztuki Beaumarchais „Wesele Figara"

„Studnia przeszłości"

MATEUSZ DZIEWISZ

W zalewie snobującej się na nowoczesność tandety literackiej, nowy tom wierszy Jana Koprowskiego jest jak kubek czystej wody podany czytelnikowi spragnionemu autentycznych przeżyć w poezji. Koprowski nie jest burzycielem ukształtowanych już, obrosłych literacką tradycją form budowy wiersza, nie jest rewelatorem nowych form poetyckiego obrazu, nie bulwersuje czytelnika odległymi skojarzeniami. Wiersz jego jest klarowny, przezroczysty i mocno osadzony w tradycji. Nie tylko tej najbliższej i nie tylko literackiej. W takich wierszach jak „Pejzaż zimowy", „Droga do Rożnicy", „Gdzieś w Olsztyńskiem", charakter pejzażu nieodparcie każe szukać wzorów nie w poezji, ale raczej w malarstwie i to malarstwie XIX wieku — u Józefa Chełmońskiego, Juliana Fałata, z późniejszych — u Leona Wyczółkowskiego. Ale gdy tamci częściej spoglądali w błękit polskiego nieba, kontemplowali majestatyczny lot żurawi, pejzaż Koprowskiego nie ma w sobie nic z owej melancholijnej sielskości XIX — wiecznych malarzy.

„A kiedy księżyc z chmur wypłynie
i falą światła zaćmi drogi,
zobaczysz nagle na nizinie
tysiące nie ostygłych mogił"

napisze w wierszu „Pejzaż zimowy".

Jest w tych wierszach urzeczenie tragizmem narodowej historii, próba rozrachunku z przeszłością w imię tego, co piękne.

„Zostanie wszystko, co
piękne. Ku pięknemu
żegluje pamięć
i rzuca z siebie obrazy, od
których sercu boleśnie.
Dniom, co przed nami,
podajmy młodości drugie
ramię.
Ten kraj jest z nami i nawet
nas nie opuszcza we śnie".

Przeszłość kładzie się cieniem na nasze teraźniejsze poczynania. Teraźniejszość tkwi swoimi korzeniami w przeszłości. Próba odnalezienia tej drogi, która pozwoliłaby ominąć Scyllę i Charybdę, płyciznę jałowego buntu przeciwko przeszłości i bezgraniczne zaufanie do teraźniejszości bez oglądania się na przeszłość, oto, jak mi się zdaje, dominanta wierszy Jana Koprowskiego. Pokolenie, którego lata młodości kształtowała „epoka pieców", uwikłane w tragiczne sploty narodowej przeszłości, poszukuje w teraźniejszości formuły, która pozwoliłaby mu z kręgu narodowej tradycji odnaleźć „ścieżki ku słońcu". Jest w tych wierszach ironia i sarkazm, drwina i satyra na rodzinnych „europejczyków", którzy niepomni w jakim kraju żyją, własny syreni śpiew za istotę rzeczywistości wzięli. Nie chcę brać w obronę „europejczyków", co to Europę przez szybę paryskiej kawiarni spostrzegli. Złoszczą mnie ich kokieteryjne grymasy i pozy starych panien. Niepokoi mnie jednak zbytnia jednowymiarowość obrazu rzeczywistości w poniektórych wierszach. Rzeczywistość współczesna nie ma w sobie nic z poetyckiej Arkadii. Jest jednak piekielnie złożona, wielowarstwowa i wielowymiarowa. A twórczość Koprowskiego należy do rzadkiego w naszej współczesnej literaturze okazu poezji społecznie zaangażowanej. Typ społecznego zaangażowania w poezji, pewne elementy obrazu rzeczywistości nasuwają pewne analogie tout proportion garde, — z poezją Sergiusza Jesienina. Mam tu na myśli takie choćby wiersze Jesienina jak: „Ruś Sowiecka", „Moskwa karczemna", Choć nie wydaje mi się, żeby u kolebki poetyckiej inspiracji wierszy Koprowskiego stał Jesienin. Zrodziła je serdeczna troska o kraj na ziemi, kraj któremu imię — Polska.

Cóż można by powiedzieć o wierszach teatralnych? Na pewno nie jest to suma teatralnych doświadczeń. Robią wrażenie pisanych jak by na marginesie. Bardziej interesujące, takie jak „Stary aktor" czy „Pożegnanie" nie mają w sobie smaku nowości, są poprawne.

Trudno też coś powiedzieć o pomieszczonych w tomiku przekładach. Jedno uderza — dobór tłumaczonych poetów i wierszy. Koprowski tłumaczy poetów bliskich swoim społecznym i poetyckim pasjom. Jakie są te przekłady? Kulturalne. Choć zdaję sobie doskonale sprawę, że to jeszcze nie kwituje trudu tłumacza. Ale co doprawdy mogę powiedzieć, jeśli z tłumaczonych przez Jana Koprowskiego wierszy zaledwie jeden znam w oryginale?.

Jan Koprowski: „Studnia przeszłości", Wyd. Łódzkie, 1961 r.

W pierwszomajowej manifestacji na Plaza Civica w Hawanie wzięło udział około 1.200.000 ludzi

CUKIER może być słodki

(IV)

Piłem właśnie lodowatą oranżadę na tarasie kawiarni „Prado", kiedy odczułem instynktownie, że ktoś mnie obserwuje.

Gruby Amerykanin z czerwoną twarzą? Nie. Barczysty mulat w słomkowym kapeluszu? Także nie... Więc kto?

Dostrzegłem go dopiero po chwili. Siedział przy sąsiednim stoliku i udawał, że czyta gazetę, w grucie rzeczy bezustannie spoglądał badawczo w moim kierunku.

Psiakrew! Czego ten znowu może chcieć ode mnie?

Hawana w kwietniu roku 1958 była gorącym wulkanem, szpiedzy Batisty nie próżnowali, nikomu nie można było ufać, zwłaszcza jeśli miało się tak obciążone konto jak ja... Były na nim i interesy z bronią dla Fidela Castro, i loty do kwatery głównej barbudos w Sierra Maestra, i wypad z Raulem Castro na Haiti, i powiązania z ruchem podziemnym w stolicy Kuby... Nie, nie mogłem sobie pozwolić, aby ktoś spoglądał na mnie zbyt natarczywie...

Po wyjściu na ulicę okazało się, że depcze mi ustawicznie po piętach. Nie pomogło błądzenie po szerokich alejach, ani jazda taksówką, w barze hotelu Nacional zjawił się tuż za mną. Usiadł przy sąsiednim stoliku i zamówił Martini.

— Czego pan chce?

— Porozmawiać z panem.

— No, to strzelaj pan.

— Nie tu, może w pańskim pokoju...

ANTENORA TRZEBA ROZSZYFROWAĆ

Winda powiozła nas na górę. W pokoju nieznajomy pozbył się wreszcie zaciemniającego twarz kapelusza. Nad prawym okiem miał małą czerwoną bliznę.

— Moje nazwisko Antenor. Przybywam z Bogoty. Przyjaciele dali mi pański adres. Mam ładunek karabinów, pistoletów i ręcznych karabinów maszynowych...

Słuchałem bez zmrużenia oka.

— Posiadam też 200.000 sztuk amunicji.

Milczałem nadal.

Zdenerwował się.

— Towar jest w Meksyku. Tuż przy granicy z Gwatemalą. Ukryty w dżungli. Potrzebuję pilnie pieniędzy, chciałem nawiązać kontakt z ludźmi Fidela, ale nic z tego nie wyszło...

I nie mogło — pomyślałem. Przed kilku tygodniami wykonany został plan uprowadzenia automobilisty Juana Fangio, chodziło o niedopuszczenie do odbycia wyścigu o Wielką Nagrodę Kuby. Kosztowało to 8 zabitych, ale prasa całego świata zaczęła już huczeć o czynach Fidela Castro. Wkrótce po tym Armando Hart wraz z organizacją podziemną stolicy spowodował zamach na Batistę i na radiostację. Oba przedsięwzięcia nie udały się. Jose Echevarria, zastępca Harta i wielu partyzantów zginęło. W Hawanie rozpętało się piekło. Codziennie łapanki i aresztowania, każdego poranka na plaży nowe, bestialsko zmasakrowane ofiary.

— Dlaczego chce pan sprzedać broń akurat Fidelowi? — zapytałem.

— Bo życzę mu zwycięstwa.

Zabrzmiało to szczerze, ale zupełnie dobrze mogło być pułapką. Zaświtał mi pomysł...

— Jeśli Castro nie kupi, to jest tylko jedno wyjście.

— Batista?

— Tak.

— Nie będzie to dla mnie najprzyjemniejsze...

— Nie ma innej możliwości. A teraz pokaż pan, gdzie jest broń...

Wskazał mi na mapie miejsce osiągalne tylko drogą powietrzną. Pożegnaliśmy się.

— Niech pan zadzwoni za tydzień. Z budki ulicznej. Spróbuję coś zrobić...

YVONNE PRZEMIENIA SIĘ W KOTKĘ

Jack, darling, czemu mnie opuściłeś? — Yvonne spoglądała na mnie spod długich rzęs — Gdzie właściwie tkwiłeś tak długo?...

— Polowałem.

— Na polowanie musiałeś wyjechać tak nagle?

— Otrzymałem nieoczekiwane zaproszenie od przyjaciela.

— Dokąd?

— Matanzas.

Niewielki uśmiech.

— A nie do Oriente?

Przypadkowo wymieniła tę prowincję czy też?... W Oriente trwały przecież walki, tamtejsze okolice stanowiły teren działania partyzantów.

— Nie byłem w Oriente.

— Mam pomysł — rece Yvonne gładziły moje włosy. — Następnym razem zabierzesz mnie z sobą...

— A mąż?

— Bill nie miałby nic przeciwko temu.

Uświadomiłem sobie, że Bill świadomie odstępuje mi swą piękną żonę. Nie miał zastrzeżeń przeciw naszym nocnym włóczęgom... Dziwne... A do tego luksusowy apartament małżeństwa, nowy Cadillac, biżuteria, eleganckie suknie... To wszystko tylko z karcianych sztuczek Billego...?

Dzwonek. Boy przyniósł spory karton. Rozerwałem sznurek. Wewnątrz piękna lornetka i kawałek papieru z trzema słowami: A nestro libertador! Dla naszego wyzwoliciela! Nie było wątpliwości, nieznajomy ofiarodawca liczył, że przy następnym spotkaniu z Fidelem wręczę mu podarunek...

— Pracujesz dla partyzantów — Yvonne przerwała mi rozmyślania.

— Idiotyzm. To pomyłka, albo głupi kawał.

Dostrzegłem, że mi nie wierzy, ale prawdy powiedzieć nie mogłem.

Podeszła bliżej i przybliżyła moją twarz do swojej.

— Jack, boję się o ciebie. Strzeż się...

— Kogo?

— Mojego męża...

SZAKAL I LEW

Generał Pedraza, dowódca armii i tajnej policji był prawą ręką Batisty. Wysłuchał uważnie mojej propozycji. Skrzywił się tylko na cenę.

— To i tak taniej niż przy lewych zakupach w USA...

Wiedziałem, że po niedawnych zaostrzeniach w sprawie wywozu broni ze Stanów na Kubę (podjętych przez Eisenhowera grubo za późno) nawet Batista odczuwał trudności z zaopatrzeniem.

— Omówię tę sprawę z prezydentem — generał podniósł się.

...Popołudnie spędziłem wraz z Yvonną i Billem, który wypytywał mnie o najbliższe plany. Yvonna była blada, ja też nie czułem się najlepiej.

Przed północą wszedł do baru porucznik policji, obejrzał się po sali i podszedł do nas.

— Prezydent oczekuje pana. Proszę za mną.

Prezydent? Dostrzegłem zaskoczone spojrzenia jakie wymienili Yvonne i Bill.

— Wybaczcie, kiedy prezydent wzywa, Jack Yonngblood nie może odmówić...

Wsiedliśmy do niebiesko-białego samochodu policji w asyście trzech milczków z pistoletami maszynowymi i przy dźwiękach syreny ruszyliśmy przez miasto. Po kwadransie znalazłem się w Campo Columbia, w kwaterze głównej wojsk Batisty, która kiedyś o mało nie stała się celem ataku bombowego, który miałem przeprowadzić.

Batista, i Pedraza zajęci byli wpinaniem chorągiewek w wielką mapę Kuby. Czerwone oznaczały oddziały Fidela, biało-niebieskie wojska rządowe. Czerwonych najwięcej w prowincji Oriente. Fulgencio Batista, były sierżant a obecnie prezydent i generał z własnej nominacji spojrzał na mnie dopiero po zameldowaniu gen. Pedrazy.

— Człowiek z bronią, ekselencjo.

Batista wysunął szyderczo wargę do przodu.

— Właściwie należałoby powiadomić sojuszniczy rząd i skonfiskować broń, ale pewne okoliczności zmuszają mnie, niestety, do pertraktowania z takimi ludźmi jak pan. Upoważniłem generała do przekazania panu 70 tys. peso.

— Nie peso, panie prezydencie. Była umowa o dolarach. O 100 tys. dolarów.

Batista nie zwrócił uwagi na moje słowa.

— Generał omówi z panem szczegóły.

Odwrócił się plecami. Audiencja zakończona. Przeszliśmy z gen. Pedrazą do sąsiedniej sali.

— Zdaje pan sobie chyba sprawę, że sami możemy dowiedzieć się o miejscu ukrycia broni i otrzymać ją bez wydatkowania jednego centa.

— Niech pan się nie wysila generale. Ode mnie pan się nie dowie.

— Jest pan tego pewny?

— Bardzo pewny, ponieważ nie znam dokładnie miejsca. Dowiem się o nim, kiedy zapewnię, że interes jest do załatwienia.

— Wygrał pan. Najpierw jeden z naszych agentów poleci z panem obejrzeć broń, a następnie, jeśli wszystko będzie w porządku, poleci pan jeszcze raz i przyholuje transport.

— A zapłata?

— Otrzyma pan po załadowaniu broni.

PUŁAPKA

Następnego dnia zgłosił się telefonicznie Antenor. Powiadomiłem go o sytuacji. Kazałem mu siedzieć w ukryciu i zadzwonić znów za tydzień.

Kończyłem śniadanie, kiedy zjawił ię Bill Tenner.

— Hallo — zawołałem. — Batisty. A ze mnie taki idiota. Teraz zrozumiałem ostatecznie skąd brały się na wszystko pieniądze, zorientowałem się, czym były podyktowane wszystkie posunięcia Billa. A Yvonne? Czy jej ostrzeżenie było tylko wyrazem chwilowej czułości? Czy ona także? Delikatnie starłem zimny pot z czoła.

Ernesto Guevarra

— Śledzenie przyjaciela nie należy do przyjemności. — Bill zapalił cygaro. — Cieszę się więc, że jesteś po naszej stronie. Ale odkryjmy karty. Kto jest ten tajemniczy trzeci — właściciel broni?

— To nie musi cię obchodzić.

— Między przyjaciółmi...

— Pamiętaj o jednym, że to jest mój interes. Twoim zadaniem jest tylko towarzyć mi i uważać, abym nie spłatał figla, jasne?

— Jack, czy ty przemyślałeś wszystkie możliwości?

— Jakie?

Zciszył głos do szeptu.

— Można sprzedać broń drugiej stronie. Taka jest też moja propozycja. Podział zysku: pół na pół. Mam łączność...

— Ale jak to zrobić?...

— Polecimy teraz na rachunek Pedraza. Na miejscu wynajmiemy maszynę i przerzucimy broń do Oriente. Castro zapłaci, a tu powiemy, że z interesu wyszły nici.

Plan Billa pokrywał się idealnie z moim

— Musiałbyś oczywiście zdradzić mi szczegóły. Inaczej nie mogę pertraktować z barbudos. Chyba, że mi nie ufasz...

— Szczerze powiedziawszy — nie.

— A gdybym ci wreczył gwarancję w wysokości 5 000 dolarów. Będą twoje, jeśli mi dowiedziesz próby oszustwa...

Wyciągnął plik banknotów. Wyglądały zachęcająco. Myślałem gorączkowo: dopóki Bill nie zna dokładnego miejsca ukrycia broni, nic właściwie nie może zdarzyć się...

— Dobrze, dawaj.

— Dasz mi oczywiście małe pokwitowanie...

— Nie.

— Przecież pięćdziesiąt studolarówek, to majątek. A nie musimy pisać szczegółów.

Złożyłem podpis na świ-

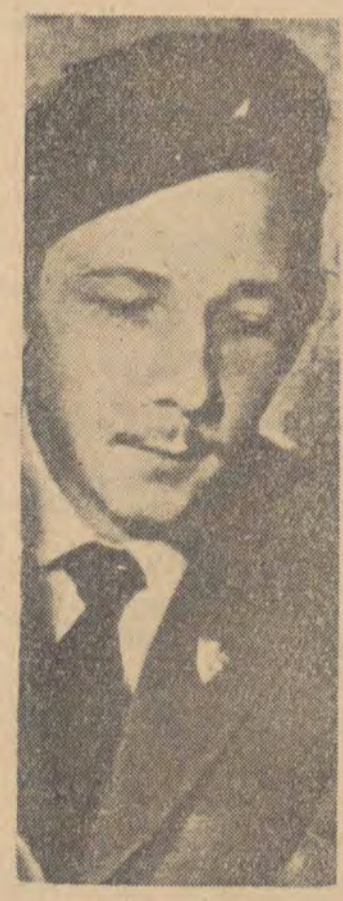

Raul Castro

Co za zaszczyt od rana! Co się dzieje u Yvonne?

— Dziękuję — usiadł w fotelu. — Mam cię pięknie pozdrowić.

— Sympatycznie z jej strony.

— Pozdrowienia przesyła ci generał.

— Generał?...

A więc Bill... był agentem

STRESZCZENIE

Zbrodniarze, którzy porwali słynnego matematyka prof. Raucha, i którym profesor odmówił współpracy, poddali go przykrym badaniom, mającym na celu ustalenie, „jaki jest kod sygnałów dla ustroju nerwowego profesora". W trakcie badań prof. Rauch ogromnym wysiłkiem woli zachowuje się inaczej niż powinien reagować pod wpływem działania aparatów. Czy uczony potrafi wykorzystać tę przewagę, jaką uzyskał dzięki swojej postawie? Czy ocali siebie i nieszczęsnych więźniów?

Zastanawiałem się nad tym nie dłużej niż minutę. Przypomniałem sobie lampę biurową w pokoju, w którym mieszkałem razem ze wszystkimi „matematykami". Przy lampie był sznur elastyczny, a więc wykonany z szeregu żyłek. Można go uciąć i rozpleść na pojedyńcze żyłki. Sznur ma około półtora metra długości, można więc otrzymać z niego ponad dziesięć metrów cienkiego przewodu. To było zupełnie wystarczające.

Obliczenia ukończyłem w momencie, gdy oznajmiono przez głośnik, że mamy — to znaczy ja i wszyscy „normalni" obliczeniowcy — iść na obiad.

Wyszedłem ze swego pokoju na korytarz. Wtem zobaczyłem przed sobą postać dziewczynki — tej samej zalęknionej dziewczynki, która odnosząc mi zadanie rozpłakała się gorzko, gdy wbrew zakazom szefa znalazła się w moim mieszkaniu.

Dogoniłem ją.

— Musisz mi pomóc — powiedziałem szeptem.

Obejrzała się i na mój widok oniemiała z przerażenia.

— To pan żyje? — rzekła ledwie poruszając wargami. —W mieście wszyscy są przekonani, że zamordowano pana. Ja też tak myślałem.

— Czy bywasz w mieście?

— Tak, prawie co dzień, ale...

Schwyciłem jej drobną rączkę i mocno ścisnąłem w swojej dłoni.

— Jeszcze dzisiaj zawiadom uniwersytet, że żyję, że zmuszono mnie gwałtem, bym tutaj pracował. Trzeba, żeby pomogli nam wydostać się stąd, mnie i moim kolegom.

— Co też pan wygaduje? — wyszeptała z przestrachem. — Jeśli pan Kraftstudt dowie się, a na pewno dowie się wszystkiego...

— Jak często biorą cię na przesłuchania?

— Będą przesłuchiwać pojutrze.

— Masz przed sobą cały dzień. Zdobądź się na odwagę. Od tego zależy życie wielu ludzi.

Dziewczynka siłą wyrwała mi swą rączkę i obrzuciwszy mnie pełnym trwogi i bólu spojrzeniem zniknęła za drzwiami.

W sali, w której mieszkaliśmy, nikt nie korzystał z lampy biurowej. Stała w rogu pokoju na wysokiej podstawce, zakurzona, popstrzona przez muchy, ze sznurem okręconym wokół nóżki.

Z samego rana, gdy zgodnie z regulaminem dnia wszyscy poszli się myć, oderwałem sznur od lampy i schowałem do kieszeni. Podczas śniadania wsunąłem do kieszeni nóż stołowy, a gdy wszyscy udali się na modlitwę, ruszyłem do toalety. W kilka sekund zerwałem nożem izolację i oczyściłem w ten sposób dziesięć cienkich żyłek o długości około półtora metra każda. Potem starannie rozłupałem ołówek, wydobyłem z drewienka rysik i ułamałem z niego trzy dziesiąte całości, tak, że pozostałe siedem dziesiątych dawały mi żądany opór. Na końcówkach rysika naciąłem nieduże rowki i okręciłem wokół nich cienki przewód. Opór był gotów. Teraz pozostawało tylko podłączyć go między płytę kondensatora a ziemię.

Należało to uczynić podczas pracy.

Obliczeniowcy pracowali po osiem godzin dziennie z dziesięciominutowymi przerwami co godzina. Po przerwie obiadowej o godzinie pierwszej salę, w której pracowali „matematycy" odwiedzało regularnie kierownictwo firmy Kraftstudta. W tym czasie szef firmy z nieukrywaną satysfakcją przyglądał się jak jego ofiary zwijają się i szaleją nad zadaniami matematycznymi. Zdecydowałem, że w takim właśnie momencie należy podłączyć do sieci generatora dodatkowe obciążenie, tak by zmienić przedział częstotliwości impulsów.

Gdy wróciłem do swego pokoju z gotowym oporem w kieszeni, byłem w nastroju niezwykłego podniecenia. U wejścia do pokoju spotkałem doktora. Przyniósł mi kartkę z nowym zadaniem.

— Hallo, doktorze, na sekundę — zawołałem.

— Co? — wybąknął zaskoczony.

— Chodzi o to — zacząłem — że w trakcie pracy przyszło mi na myśl, by wrócić do pierwotnej rozmowy z panem Bolzem. Myślę, że

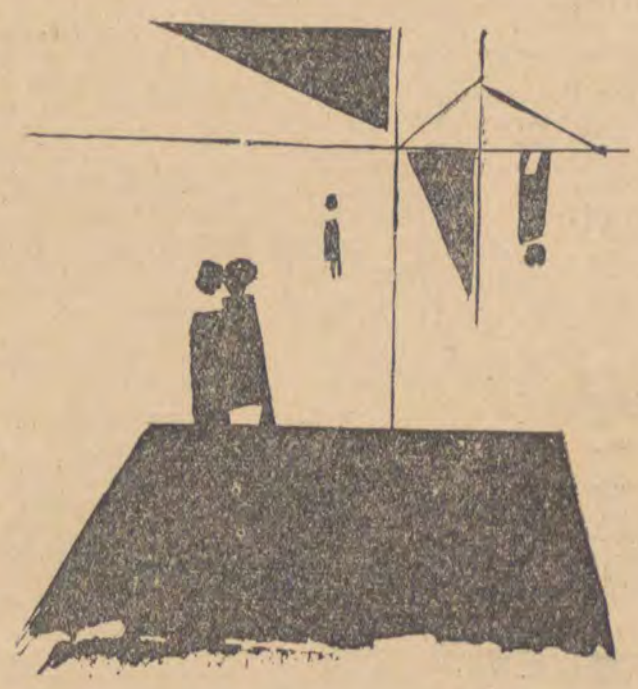

moja zapalczywość srodze się na mnie zemściła. Proszę przekazać Bolzowi, że zgadzam się być wykładowcą matematyki dla nowych kadr firmy Kraftstudta.

Doktor żuł w zębach koniuszek nitki z kołnierzyka swojego fartucha, splunął, po czym oświadczył z nieukrywaną szczerością:

— Cieszę się z tego, daję słowo. Mówiłem tym dziwakom, że z twoim spektrum najlepiej by było, gdybyś pracował jako nadzorca lub nauczyciel tej całej matematycznej zgrai. Bardzo potrzebujemy dobrego nadzorcy. Ty się idealnie do tego nadajesz. Masz całkiem inne przedziały częstotliwości. Mógłbyś po prostu siedzieć między nimi i poganiać opieszałych, albo tych, u których częstotliwość wzbudzenia dyspozycji matematycznych nie wchodzi w rezonans.

— Oczywiście, doktorze. Myślę jednak, że najlepiej by było, gdybym został wykładowcą matematyki. Daję słowo, nie mam wcale ochoty rozwalać sobie łba o kant biurka.

— To rozsądnie — stwierdził doktor. — Trzeba porozmawiać z Kraftstudtem. Myślę, że się zgodzi.

— A kiedy będzie coś o tym wiadomo?

— Myślę, że dzisiaj o pierwszej, gdy będziemy robili obchód ośrodka i przegląd całego naszego gospodarstwa.

— Dobrze, podejdę do panów.

Doktor skinął mi głową i oddalił się. Na biurku swoim znalazłem kartkę papieru, na której podane były założenia dla zaprojektowania nowego generatora impulsowego o mocy przewyższającej dotychczasową czterokrotnie. Można było z tego wnosić, że Kraftstudt postanowił powiększyć swoje przedsiębiorstwo czterokrotnie. Chciał, żeby w jego ośrodku pracowało nie trzynastu, lecz pięćdziesięciu dwóch obliczeniowców. Dotknąłem czule rysika od ołówka z dwiema końcówkami przewodów. Obawiałem się bardzo, że może się złamać w kieszeni. Założenia zadania na obliczenia nowego generatora utwierdziły mnie w tym, że wszystkie moje obliczenia dotyczące pracującego obecnie generatora były prawidłowe. To umocniło we mnie jeszcze bardziej wiarę w powodzenie planowanej akcji, oczekiwałem więc z niecierpliwością nadejścia godziny pierwszej. Gdy zegar na ścianie wskazywał za piętnaście pierwszą, wydobyłem z kieszeni rysik od ołówka, stanowiący opór równy tysiącu trzystu pięćdziesięciu omów i umocowałem go jednym końcem do pręta swego aluminiowego „parasola". Do drugiego końca przewodu doczepiłem jeszcze kilka kawałków drutu. Długość ogólna przewodu była wystarczająca, by dociągnąć go do kaloryfera w rogu pokoju. Ostatnie minuty ciągnęły się denerwująco długo. Gdy strzałka minutowa dotknęła „12" a strzałka godzinowa zatrzymała się na cyfrze „1", szybko podłączyłem wolny koniec przewodu do kaloryfera i wyszedłem na korytarz. Z przeciwnego krańca korytarza nadchodził Kraftstudt w towarzystwie inżyniera Pfaffa, Bolza i doktora. Gdy ujrzeli mnie, uśmiechnęli się. Bolz dał znak, abym do nich podszedł. Pfaff i Kraftstudt zatrzymali się przed oknem na salę, w której pracowali matematycy, nie widziałem więc, co się tam dzieje wewnątrz.

— To rozsądna decyzja — rzekł szeptem Bolz. — Pan Kraftstudt godzi się na pańską propozycję. Nie pożałuje pan...

— Słuchajcie, co tam się dzieje? — zapytał nagle Kraftstudt, odwracając się do swych współtowarzyszy.

Inżynier Pfaff nasrożył się i jakoś dziwnie patrzał przez okno. Serce dygotało mi w piersi.

— Nie pracują! Rozglądają się wokół! — z gniewem syknął Pfaff.

Przycisnąłem się do okna i zajrzałem do środka. To, co ujrzałem, przeszło wszelkie moje oczekiwania. Ludzie, którzy przedtem siedzieli tak pokornie pochyleni nad biurkami, teraz wyprostowani rozglądali się wkoło i rozmawiali ze sobą z ożywieniem. W głosach ich brzmiała stanowczość.

— Trzeba raz wreszcie z tym skończyć. Czy pojmujecie, co oni z nami wyrabiają? — mówił wzburzony Denis.

— Oczywiście. Ci bandyci wmawiają w nas przez cały czas, że posiedliśmy szczęście, oddając się we władzę impulsowego generatora. Ich by tak powsadzać pod ten generator!

— Co się tam dzieje? — groźnie zakrzyknął Kraftstudt.

— Nie mam pojęcia — wymamrotał Pfaff, wybałuszając swe wyblakłe oczy na ludzi w sali.

— Zachowują się w tej chwili zupełnie jak normalni ludzie! Co to jest! Wyglądają, jak by byli czymś podnieceni. Wzburzeni nawet. Dlaczego nie zajmują się obliczeniami?

Kraftstudt aż spąsowiał ze złości.

—Nie wykonamy w terminie co najmniej z pięć zamówień wojskowych — wycedził przez zęby. — Natychmiast zmusić mi ich do roboty.

Bolz zgrzytnął kluczem i całe towarzystwo weszło do sali.

— Wstać, przyszedł wasz nauczyciel i stwórca — rzekł głośno Bolz.

Gdy to powiedział, w sali zaległa dławiąca cisza. Dwanaście par oczu rozpalonych gniewem i nienawiścią patrzyło w naszą stronę. Trzeba było tylko iskierki, by spowodować wybuch. Cieszyłem się z tego w duchu. Oto w czym krył się koniec firmy Kraftstudta! Wystąpiłem naprzód i głośno na całą salę powiedziałem:

— Na cóż jeszcze czekacie? Nadeszła chwila wyzwolenia. Los wasz jest w waszych rękach. Skończcie z tą nikczemną bandą, która szykowała wam pobyt w „przybytku mędrców"!

Matematycy gwałtownie poderwali się z miejsc i rzucili się na stojących przed drzwiami w osłupieniu Kraftstudta i jego kompanów. Powalili na podłogę Bolza i doktora, zaczęli ich dusić. Zapędzili w kąt sali Kraftstudta i tłukli go tam pięściami i nogami. Denis zwalił się na inżyniera Pfaffa i trzymając jego łysą głowę za uszy, walił nią z całych sił o podłogę. Ktoś zrywał z sufitu aluminiowe parasole, ktoś wybijał szyby w oknach. W jednej chwili zerwano ze ściany głośnik, z hałasem przewrócono biurka. Podłoga była usiana porwanymi w strzępy papierami z obliczeniami matematycznymi.

Rozpaleni gniewem ludzie, uniesieni wzburzeniem rozbijali, niszczyli nienawistne i wroge im laboratorium.

Już od pewnego czasu żaden z nich nie znajdował się pod działaniem generatora impulsowego, ale ich nienawiść burzyła się jeszcze i po tym, gdy Kraftstudt, Bolz, Pfaff i doktor zbici i okrwawieni zostali wyrzuceni na korytarz. Wleczono ich ku wyjściu z budynku.

Szedłem na przedzie wzburzonych ludzi. Wykrzykiwali przekleństwa pod adresem tych, którzy przemienili ich w niewolników. Tak niedawni obliczeniowcy przeszli przez pustą salę, gdzie po raz pierwszy oddawałem swoje zadanie matematyczne, potem z hałasem przeciągnęli przez wąskie przejścia podziemnego labiryntu, aż wreszcie wylegli na zewnątrz.

Palące letnie słońce oślepiło nas. Zatrzymaliśmy się w miejscu jak porażeni. I to nie tylko przez słońce. Przed wejściem, prowadzącym do firmy Kraftstudta, zgromadził się wielki tłum mieszkańców naszego miasta. Padały głośne okrzyki. Gdy pojawiliśmy się, na chwilę zaległo milczenie. Przyglądały się nam setki zdumionych oczu. Potem usłyszałem, jak ktoś głośno zawołał:

— Przecież to profesor Rauch?

Denis i współtowarzysze wypchnęli do przodu zbitych kierowników ośrodka obliczeniowego Kraftstudta. Kolejno jeden po drugim stanęli wobec zgromadzonych ludzi — Kraftstudt, Bolz, Pfaff i doktor. Ocierali pokrwawione twarze i oglądali się z przestrachem to na nas, to na tłum dokoła.

Wtedy ujrzałem w tłumie chudziutką, drobną dziewczynkę. Była to ta sama wylękniona dziewczynka, która przed wieloma dniami przyniosła mi olbrzymi, granatowy pakiet.

KONIEC

stku, stwierdzającym, że Bill pożycza mi 5 tys. dolarów na sfinansowanie jakiegoś przedsięwzięcia i wymieniłem miejsce ukrycia broni. Tyle tylko, że w odległości 100 km od prawdziwego. Na wszelki wypadek.

Zjechaliśmy na dół, ale nie udało nam się dotrzeć do baru. Przed windą spotkaliśmy kilku ludzi,

Policja.

— Senor Youngblood? Jest pan aresztowany. I pan też...

Pokwitowanie. Przeklęte pokwitowanie.

KATOWNIA

Cela była chłodna. Betonowa podłoga, mikroskopijne okienko pod sufitem, drewniana ława, wiadro, ani jednego koca, za to dwa razy dziennie wodnista zupa i kromka pszennego chleba.

Dni wlokły się monotonnie. Noce były straszne. Słyszałem krzyki i jęki torturowanych, a niekiedy strzały nad ranem. Myślałem o zdzieranych paznokciach, pustych oczodołach, połamanych kończynach, strzałach w tył głowy...

Waliłem pięściami w drzwi, dopóki nie zjawiał się strażnik.

— Chcę rozmawiać z adwokatem...

Cisza.

— Jestem obywatelem USA!...

Strażnik spoglądał pogardliwie i kończył dyskusję krótkim: „Stul pysk, gringo"

Myślałem o Billu. Czy już go przesłuchiwali? Czekałem. Trzy dni. Cztery. Piątego dnia rano drzwi celi otworzyły się, ukazał się w nich porucznik policji a za nim Bill. Czerwony, wściekły...

— Ty łgarzu! — krzyknął.

— Byłem sam sprawdzić. Ani śladu po broni...

A więc tak miała się sprawa. Chcieli mnie wykiwać i zdobyć broń za darmo. Bill zastawił pułapkę, a ja w nią wpadłem.

— Świnia! — powiedziałem.

— Oszczędzaj się. Będziesz potrzebować siły, gdy zajmą się twoimi paluszkami...

Zrobiło mi się gorąco, ale cios wyszedł przepisowo. Bill upadł jak worek mąki. Po pięciu minutach znalazłem się w pokoju na I piętrze.

KLUCZ BĘDZIE JEDEN...

Człowiekiem, który podniósł się zza stołu był generał Pedraza.

— Jak pan się czuje?

— Świetnie.

— Bill jest idiotą.

— Nie moja wina.

— Jesteśmy nadal zainteresowani zakupem. A pan?

— Też, ale lepiej zorganizowanym.

— Nieporozumienia już się nie powtórzą. Jakie propozycje?

— Dwumotorowa maszyna, do tego porucznik i tylu żołnierzy, ilu pan chce. Tylko jeden warunek: żaden z nich nie może być pilotem. Nie znoszę przeświadczenia, że zjedzą mnie w dżungli mrówki na kolację...

— Zgoda — generał przesunął stalową kasetkę w moją stronę. — Proszę sprawdzić pieniądze...

W kasetce leżało 100 tys. dolarów.

Generał zamknął skrzyneczkę i wręczył mi kluczyk.

— To jest jedyny klucz. Kasetkę będzie miał porucznik, przekaże ją panu po załadowaniu broni na samolot. W porządku?

— Tak jest.

— I jeszcze jedno. Bez głupich kawałów. Porucznik jest jednym z najlepszych strzelców na Kubie. Byłoby pana szkoda.

Jeszcze tego samego dnia w jednej z portowych spelunek Hawany udało mi się zamienić kilka słów z łącznikiem Fidela Castro...

ZA TYDZIEŃ:

❖ STRZAŁY W SAMOLOCIE — ROZKAZ: ROZSTRZELAĆ. ❖ KIM OKAZAŁ SIĘ ANTENOR. ❖ ŻYWY POCISK W HUKU BOMBOWYM. ❖ KANAPKI PO 15 DOLARÓW ❖ FIDEL ZNACZY STABILIZACJA.

Znów jest propozycja!

Odkrywajmy nowe światy

Ktoś tam obliczył, że już wkrótce z warszawskiego, katowickiego, łódzkiego czy też innego jeszcze studia, wypełznie 250-a, jubileuszowa „Kobra"; trupami jakie padły w tych widowiskach można by już w tej chwili zapełnić niezgorszy cmentarzyk. No cóż — jedni lubią zagadkę jaką taką, inni zapach krwi i choć psioczą co niemiara, to jednak regularnie co czwartek włączają telewizor — ciekawe byłoby nawet sprawdzić, jak akurat w tym dniu kształtuje się frekwencja w teatrach i na ostatnich seansach filmowych.

Ale choć sprawy zbrodni interesowały ludzkość od niepamiętnych czasów to, wydaje się — sądząc po praktyce literackiej i kinematograficznej, choć raczej nie tyczy to kinematografii polskiej — tematyka kryminalna znajduje coraz to silniejszą konkurencję w tematyce fantastyczno-naukowej. W dobie kosmicznego lotu Gagarina nie jest chyba specjalnie trudno zrozumieć, dlaczego dzieje się tak właśnie; również nie na tym miejscu będziemy chyba analizować poszczególne prądy i tendencje w tej dziedzinie twórczości. Fakt pozostaje faktem — problematyka lotów międzyplanetarnych, odkryć nowych światów, zetknięć z innymi cywilizacjami pasjonuje czytelnika (a więc chyba i widza), powieści zaś Lema czy spółki Boruń — Trepka znajdują masowego nabywcę.

Teraz spróbujmy z innej strony. Powodowani, przyznajemy się, lokalnym patriotyzmem, niejednokrotnie sugerowaliśmy to i owo Łódzkiemu Ośrodkowi Telewizyjnemu — chodziło nam po prostu o to, aby miał on swoją własną twarz, aby liczył się jakoś w ogólnopolskiej konkurencji. Wiemy wprawdzie doskonale, że nie wszystkie nasze „pobożne życzenia", choćby przez kierownictwo łódzkiego ośrodka najżyczliwiej przyjęte, mogą być zaraz zatwierdzone „u góry" i zrealizowane, znów jednak pozostaje faktem bezsprzecznym, że — co prawda po kilku „niewypałach" — nawet audycje rozrywkowe, w jakich miał się specjalizować (m. in. ze względu na obszerne studio) ośrodek łódzki, zostały mu w praktyce odebrane.

Nasza idea z popularyzacją baletu w telewizji również „nie chwyciła"*), tak że w praktyce poza na ogół interesującymi spektaklami Teatru Telewizji, Łódź nie bardzo ma z czym wchodzić na ogólnopolską antenę.

Tu dodajemy jeden do jednego i otrzymujemy, rzecz jasna, dwa. „Kobra" „Kobrą", a może by zaryzykować stworzenie jeszcze jednego telewizyjnego teatrzyku poświęconego właśnie tematyce fantastyczno-naukowej, właśnie lądowaniom na najrozmaitszych planetach z układu Alfa Centauri czy jakiegokolwiek innego. Początkowo, tytułem próby, mógłby on dawać programy powiedzmy raz w miesiącu czy dwa razy na kwartał, wydaje się jednak, że zdobyłby diablo szybko popularność na pewno nie mniejszą od popularności „Kobry".

I może właśnie Łódź podjęłaby się czegoś takiego, niech by nawet i nie na prawach monopolisty, a przynajmniej na prawach projektodawcy. Nie ma obawy, że zabraknie scenariuszy — toż dla „Kobry" pisze dzisiaj pół Polski i odpowiedzialna pani z Warszawy może przebierać w tekstach jak w ulęgałkach, raz stawiając na Joe Alex'a, a raz na Barbarę Snow, która to Barbara też zresztą nie ma nic wspólnego z chmurnym Albionem, a firmuje po prostu katowicką spółkę autorską...

Niech by nawet — wracamy na ziemię, a właściwie wracamy z ziemi w kosmos — nie było początkowo scenariuszy oryginalnych, to jest co adaptować; zupełnie gratis mogę na przykład odstąpić pomysł adaptacji „Solaris" Lema. Rzecz, dla telewizji, jak ulał: czterech aktorów plus jeden statysta, zaledwie kilka dekoracji (myślę, że cztery do sześciu), parę trickowych dokrętek, do których wedle mojej wiedzy starczy kamera i balia wypełniona wodą, wreszcie podkład muzyki elektronowej — możemy zaczynać.

Jak się Państwo na to zapatrują (a zwracam uwagę, że darowałem sobie możliwość „podbudowania" propozycji — przecież w pustce kosmicznej najostrzej będą się uwidoczniały cechy tak pozytywne jak odwaga, zimna krew, solidarność międzyludzka, przecież widowisko tego typu zawsze zawrze jakiś margines wiadomości rzetelnie naukowych; kudy tam „Kobrze" do naszego, bezimiennego jeszcze, teatru)? Czy rzecz jest do zrealizowania? Czy ośrodek łódzki może — powtarzam: tytułem próby — wystąpić z projektem przygotowania pierwszej pozycji z tego cyklu? Jeżeli może, to czy chce, a jeżeli i może i chce, to czy Warszawa zatwierdzi i — ewentualnie — po jakim czasie?

J. PANASEWICZ

P. S. Ponieważ zdarzyło się, że zgłosiwszy na łamach „Odgłosów" którąś tam z kolei propozycję dowiedziałem się, iż toż samo było zupełnie niezależnie dyskutowane na konferencji programowej ŁOT z góry zaznaczam, że nie roszczę żadnych pretensji do miana projektodawcy i chętnie wierzę, że myślano już o tym przed dwoma tygodniami, czy przed dwoma laty.

*) Natomiast ze złością wyczytałem w „Panoramie Śląskiej", że „współczesne inscenizacje baletowe są mocną stroną telewizji jugosłowiańskiej" i zaprzysięgłem sobie wiercić na ten temat komu należy dziurę w brzuchu aż do skutku. Może to potrwać, liczę, pięć do dziesięciu lat, ale jestem jeszcze w miarę młodym i dość optymistycznie nastrojonym człowiekiem.

Co piszą inni

TELEWIZOR A MEDYCYNA

„Ja i ty" — naszym skromnym zdaniem bardzo interesujący, a już na pewno znakomicie postawiony od strony graficzno-ilustrowanej magazyn miesięczny — opublikowało w ostatnim lipcowym numerze obszerny materiał poświęcony, jeżeli tak można powiedzieć, zdrowotnym problemom telewizji. Pismo zwróciło się mianowicie do wybitnych specjalistów z pytaniami: „Czy telewizor psuje wzrok?", „Czy telewizora niszczy zdrowie?", wreszcie „Czy istnieje choroba telewizyjna?".

Oto skrót odpowiedzi.

Czy telewizor psuje wzrok?

Prof. dr Władysław Melanowski odpowiadając na pytanie „czy telewizor psuje wzrok" porównuje obraz na ekranie telewizyjnym z obrazem kinematograficznym. Ten pierwszy wysyła wprawdzie promienie świetlne powstałe z przeobrażenia promieni elektronowych, a więc zawierające pewien procent więcej czynnej energii promieniotwórczej i w pewnej części zbliżonych do rentgenowskich.

„Ale — wyjaśnia profesor obraz telewizyjny ma tych promieni tak mało, że szklana tafla ekranu jest dostateczną barierą, aby nie dopuścić ich do organizmu telewidza. Poza tym wystarczy się usadowić w odległości 1,5 metra od telewizora, aby znaleść się zupełnie poza zasięgiem działania tych promieni."

Odpowiadając na pytanie tyczące ochronnych okularów telewizyjnych, profesor wyjaśnia:

„Moim zdaniem, lansowanie tego dodatkowego, rzekomo asekuracyjnego dla oczu elementu, jest zwykłym pociągnięciem handlowym. (...) Na ekranie telewizyjnym mamy mniej więcej 1/100 tej energii promieniotwórczej, którą obdarowuje nas słońce. Warto też tu zaznaczyć, że zaciemnianie pomieszczeń i wygaszanie świateł w czasie seansów telewizyjnych nie ma żadnego znaczenia dla ochrony wzroku, a jedynie dla polepszenia widoczności obrazów."

Czy telewizor niszczy zdrowie?

Na pytanie „czy telewizor niszczy zdrowie" odpowiada rentgenolog dr Władysław Nowakowski. Potwierdza on, że szyba telewizyjna całkowicie niemal pochłania wysyłane promienie zbliżone do promieni X, dodając że jeżeli energia promieniowania telewizyjnego jest rzędu 10 000 V, to energia promieni rentgenowskich używanych na przykład przy prześwietleniu — około 70 000 V. Co za tym idzie **„... dawka, jaką otrzymujemy, jest rzędu ułamka milirentgena rocznie, a to nie może mieć wpływu na powstawanie zmian w organiźmie."**

— Skąd więc — pada pytanie — skargi ludzi posiadających telewizory, na złe samopoczucie, znużenie, zmęczenie, senność, bóle głowy?

„Jak już powiedziałem, o szkodliwym działaniu promieni nie może być mowy. A więc należy się zastanowić nad innymi przyczynami tego stanu. Programy telewizyjne oglądamy zwykle w pokoju przyciemnionym, siedząc nieruchomo przez szereg godzin, zwykle w towarzystwie kilku osób. Jest wtedy również okazja do spokojnego wypalenia papierosa, wypicia mocnej, dużej, czarnej kawy. Pomieszczenie jest zwykle nie wietrzone. Spędzając kilka godzin dziennie przed telewizorem, po zakończeniu nadawania programu, przystępujemy dopiero do wykonywania różnego rodzaju prac domowych, do czytania, pisania. To wszystko wykonujemy już późno w nocy. Czyż można się dziwić, że jesteśmy senni, znużeni? Jeśli chodzi o bóle głowy, to z jednej strony są one wywołane przez przebywanie w pomieszczeniu dusznym, wypełnionym dymem papierosów, z drugiej strony, zwłaszcza jeśli oglądamy obraz ze zbyt bliskiej odległości — miganiem ekranu i zmęczeniem wzroku."

Czy istnieje choroba telewizyjna?

O najpoważniejszym, szeroko zwłaszcza dyskutowanym na zachodzie problemie tzw. „choroby telewizyjnej", mówi neurolog dr Przemysław Słomski.

„W fachowych pismach amerykańskich pojawiać się zaczyna określenie „choroba telewizyjna", odnoszące się do zakrzepów żylnych w żyłach kończyn dolnych występujących u ludzi w starszym wieku lub cierpiących na zaburzenia układu krążenia, a przesiadujących często przed ekranem. Związek przyczynowy telewizji z powstawaniem zakrzepu jest tu naturalnie pośredni: przyspieszeniu przepływu krwi przez żyły sprzyja praca mięśni — ruch. U człowieka pozostającego bez ruchu, krążenie krwi w żyłach zwalnia się — dotyczy to zwłaszcza krwi zalegającej w żylakach i w zmienionych starczo żyłach ludzi w podeszłym wieku. Niedawno jeden z kardiologów opiekujących się byłym prezydentem Eisenhowerem, wskazał na telewizję, jako jedną z przyczyn zawałów mięśnia sercowego. (...) Termin „choroba telewizyjna" powstał w Stanach Zjednoczonych. Objawy tej nowej choroby występują tu szczególnie masowo. Ale też czas trwania programu telewizji amerykańskiej — 24 godziny na dobę — stwarza szczególnie sprzyjające warunki do bezmyślnego nadużywania telewizji..."

...i „padaczka telewizyjna"?

„Obok tych pośrednich szkodliwych wpływów telewizji — mówi dalej dr Słomski — istnieją również wpływy bezpośrednie. Jednym z najbardziej nieoczekiwanych jest występowanie ataków padaczkowych przez działanie telewizora. Sprawa ta wzbudza niepokój i dlatego wymaga wyjaśnienia. W znanym mi przypadku młody, zdrowy mężczyzna wszedł do sklepu z telewizorami. Kilka aparatów było włączonych. Na ekranie jednego z nich ukazały się szybko przepływające smugi. Mężczyzna stracił przytomność i upadł na ziemię w typowym ataku padaczkowym. W styczniu br. angielski periodyk lekarski „The Lancet" zamieścił dwa doniesienia o podobnych wypadkach tyczące ogółem 5 ludzi".

Jak okazuje się jednak, reakcja taka nie jest niczym niezwykłym dla lekarzy zajmujących się padaczką. Już w starożytności wiedziano, że pewne bodźce czuciowe — najczęściej świetlne — mogą powodować atak i tak nabywając na przykład niewolnika rozkazywano mu biec obok płotu, zza którego świeciło słońce. U chorego na padaczkę migotanie mogło wywołać atak. Podobnie dzieci potrafią niekiedy rozmyślnie wywołać atak padaczki, przesuwając rytmicznie dłonią przed zwróconymi ku słońcu i — co ważne — zamkniętymi oczyma.

„Telewizor — cytujemy dalej — jest często źródłem bodźców świetlnych o rytmicznie zmieniającej się częstotliwości. W znanych dotąd przypadkach ataków padaczki telewizyjnej spotkano kilka charakterystycznych cech: ataki występowały przeważnie wtedy, gdy na ekranie pojawiały się przepływające smugi, gdy twarz chorego znajdowała się blisko ekranu (zwykle podczas próby dostrojenia aparatu) i gdy oczy były zamknięte. Często atak poprzedzało szczególnie nieprzyjemne uczucie, trudne do opisania, określone przez chorych jako podobne do uczucia poprzedzającego omdlenie".

„Dla wyjaśnienia występujących u telewidzów wątpliwości i obaw należy sformułować na zakończenie kilka wniosków. Przede wszystkim: TELEWIZOR NIE POWODUJE PADACZKI, MOŻE TYLKO UJAWNIĆ PADACZKĘ UTAJONĄ. Po drugie: jedynie w pewnej, dość rzadkiej postaci padaczki atak może być sprowokowany przez bodźce świetlne — nie wynika więc z tego, że każdy chory na padaczkę musi unikać oglądania telewizji. Wreszcie, nawet chory na padaczkę prowokowaną przez światło, mogą oglądać telewizję zachowując ostrożność. Ale zachowanie ostrożności wskazane jest również u zdrowych ludzi. NALEŻY WIĘC BEZWZGLĘDNIE UNIKAĆ ZBLIŻANIA TWARZY DO EKRANU, ZWŁASZCZA GDY ZACZYNA MIGOTAĆ. NIE NALEŻY ZAMYKAĆ OCZU SKIEROWANYCH NA MIGOCĄCY EKRAN.

(opr. wł)

„Niebieskie kartki" Adolfa Rudnickiego

Zgodzimy się zapewne, że proza Adolfa Rudnickiego nie nadaje się raczej do opowiadania czy też streszczania, godzi się jednak chyba odnotować, że jedne z jego ostatnich „Niebieskich kartek" („Świat" z 16 lipca br.) poświęcone zostały telewizji, a raczej adaptacji telewizyjnej „Romansu prowincjonalnego" Filipowicza.

„Jeśli o mnie chodzi — pisze Rudnicki — *to patrzałem na tę sztukę z przykrością, a chwilami nawet ze wstrętem. Wiadomo: nie mam poczucia humoru i jeśli pisarz robi z pisarza szuję, dużego czy małego, to bez znaczenia, to chciałoby się wiedzieć: w imię czego? Czemu to służy? Co to posuwa naprzód — jak mówią pewne nieznośne typy".*

I w zakończeniu:

„Artyści toną. Poza tym stała się rzecz najgorsza. Słowo zblakło. To należy powiedzieć z całą bezwzględnością: słowo zostało zdystansowane przez obraz, kino, telewizję. Słowo pozostało jeszcze jako inwencja, jako tańszy punkt wyjścia — ale tygrysy czychają! Zresztą od pięćdziesięciu lat prawdziwe odkrycie o człowieku czynione są poza literaturą. Ani Freuda, ani Junga pisarze nie przyjęli do wiadomości; ale czuli klęskę w kościach. Artyści wiedzą, że reprezentują coś, bez czego życie nie ma sensu, ale — bardziej niż kiedykolwiek są zagubieni. W takiej chwili napluć na nich — nie godzi się.

Przez cały czas „Romansu" żal mi było Zbyszka Cybulskiego, jak gdyby stworzonego do mówienia rzeczy odwrotnych od tych, które mówił. Jego twarz była jakby przekazem innych lat, innego świata w tym morzu starzyzny i lawizny".

PROGRAM na najbliższe dni

CZWARTEK, 27. VII. 61 R.

18.10 Program dnia (Ł. lok.). 18.15 Program publicystyczny (Ł. lok.). 18.30 „Poletko pana Polaka" progr. z cyklu: „O wsi dla wszystkich" (W). 19.05 Popularny program muzyczny (W). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Alibi" film fab. prod. francuskiej (czytany) od lat 16 (W). 21.25 PKF (W). 21.35 „Fakty i poglądy" progr. publicystyczny (W). 22.10 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK, 28. VII. 61 R.

17.55 program dnia (Ł. lok.). 18.00 Wszystkie dni tygodnia (Ł. lok.). 18.30 „Mój koń" angielski film dla młodzieży (W). 19.00 Wszechnica TV — progr. z cyklu „Historie z tej ziemi" pt. „Hipnoza" (Ł. ogólnopolski). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Program publicystyczny (W). 20.30 „Arka Noego" fab. film prod. francuskiej (czytany) od lat 14 (W). 22.20 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA, 29. VII. 61 R.

17.25 Program dnia (Ł. lok.). 17.30 Kronika Filmowa Ziemi Łódzkiej (Ł. lok.). 18.00 Sprawozdanie sportowe (W). 20.15 Dziennik telewizyjny (W). 20.50 „Z wizyta w teatrze Bertolda Brechta w Berlinie" wydanie specjalne magazynu „Pegaz" (W). 21.15 Film fab. prod. NRD. „Kłopoty z miłością" od lat 14 (Ł. lok.).

NIEDZIELA, 30. VII. 61 R.

9.55 Program dnia (Ł. lok.). 10.00 Reportaż z budapeszteńskiego ZOO (Budapeszt). 10.50 Przerwa. 14.00 Program dnia (Ł. lok.) 14.05 „Kaczor do wynajęcia" — film z serii Disneyland (W). 14.55 Niedzielna biesiada (Ł. ogólnopolski) 16.00 Sprawozdanie z eliminacji do motocyklowych mistrzostw świata transm. z Sachsenring. 17.05 PKF i film krótkometrażowy (W). 17.30 „Konkurs na polską piosenkę" (W) 18.00 Sprawozdanie sportowe (W). 20.15 Dziennik telewizyjny (W). 21.00 „Oliver Twist" — film fab. prod. angielskiej (czytany) (W). 22.50 Wiadomości sportowe (W). 23.15 Koniec programu.

TELEwizja

Marylin Monroe jest zadowolona! Nic dziwnego. Wystąpiła ona ostatnio przed kamerami telewizji NBC w telewizyjnej adaptacji sztuki pt. „Rain". Grała podobno świetnie, ale równie świetne było jej honorarium wynoszące okrągłą sumkę 100 tys. dolarów.

Boże ileż to dewiz — westchnął teleredaktor „Odgłosów" wybierający się właśnie za granicę...

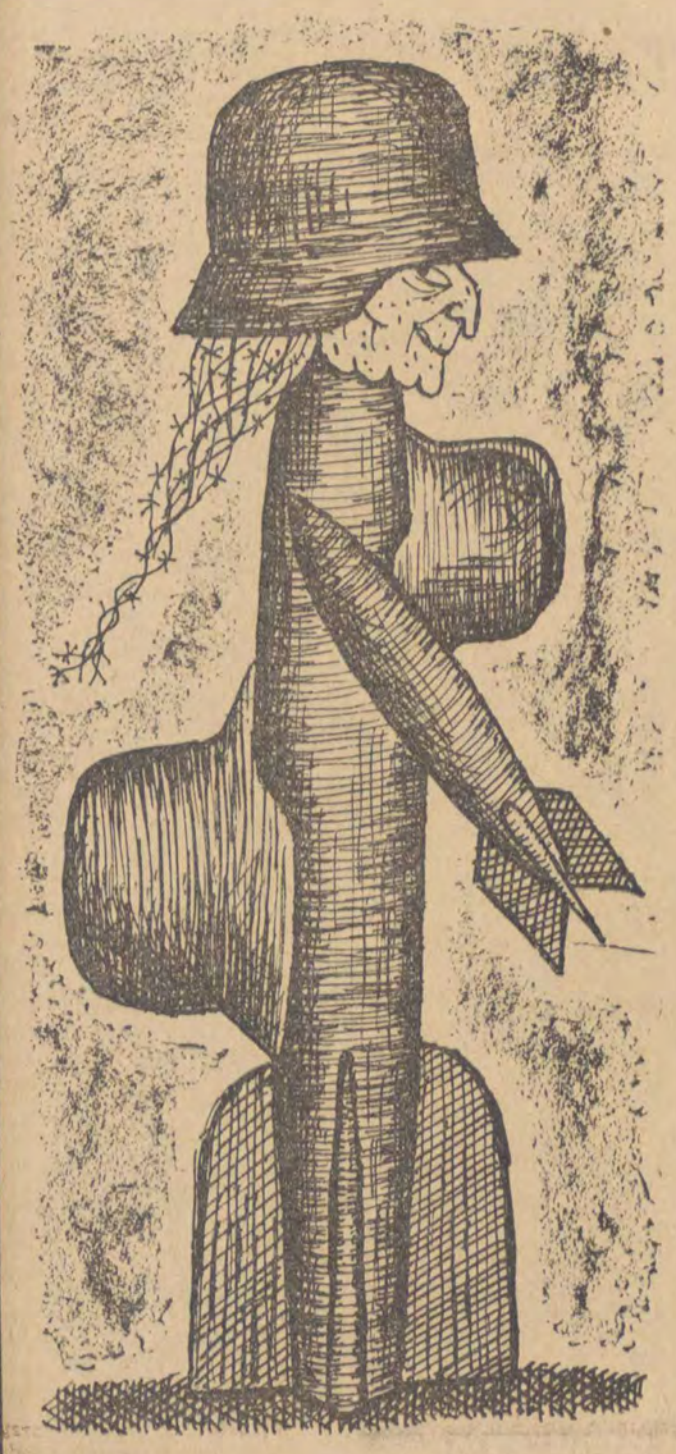

Rys. Karol Baraniecki

SEX. BONN-BA

Rys. Ibis Jankowski

TWORZYWO SZTUCZNE

Rys. Ibis Jankowski

PŁYWAK DOSKONAŁY

„Karuzela" wydała — jako druk prywatny — w bibliofilskim nakładzie 200 egzemplarzy tekę autolitografii, zawierającą 44 rysunki Karola Baranieckiego i Jerzego Ibisa-Jankowskiego. Stanowi ona przegląd (nb. niewspółmiernie nikły na tle całokształtu twórczości) dorobku artystycznego czołowych polskich karykaturzystów pracujących w Łodzi. Z teki tej, która nie ukaże się w handlu i przeznaczona będzie jedynie na upominki dla przyjaciół pisma przedrukowujemy kilka rycin.

Rys. Karol Baraniecki

NASZA PRALKA ELEKTRYCZNA

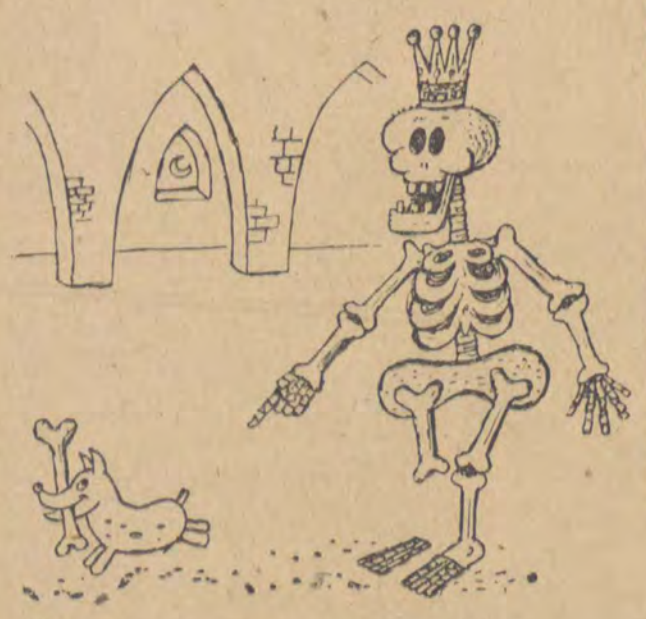

Rys. Karol Baraniecki

— AZOR, DO NOGI!

Rys. Karol Baraniecki

— MÓW PAN DO RĘKI!

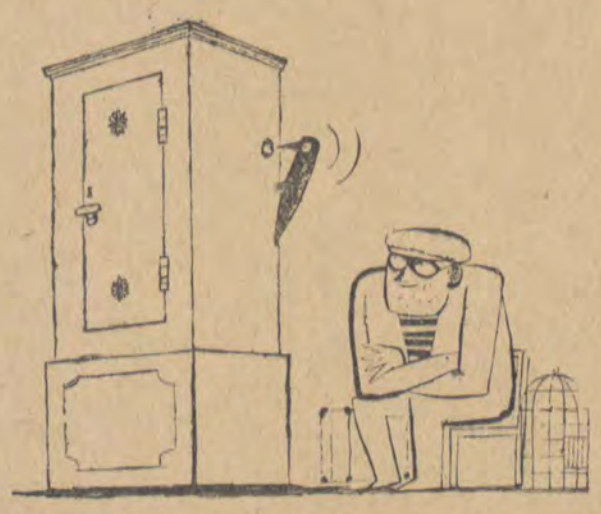

Rys. Ibis Jankowski

BEZ SŁÓW

Rys. Ibis Jankowski

— MAJSTER! PIONU NIE MA

Redaguje Zespół ◇ Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" ◇ Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 89. Tel. 244-79 ◇ Warunki prenumeraty miesięcznie zł 4,—, kwartalnie zł 12,— ◇ Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca ◇ Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, ustonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy" Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Zwirki 17 ◇ Zam. 2150. VII. L-4

ODGŁOSY tygodnia

ALL RIGHTS RESERVED
WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE
COPYRIGHT BY ODGŁOSY

Mechaniczny dróżnik

Sporo pisało się w swoim czasie o tzw. automatycznych dróżnikach na nie strzeżonych przejazdach kolejowych. Dwa takie przejazdy oglądaliśmy niedawno między Zosinowem a Żychlinem na trasie Łowicz — Kutno.

Zainstalowano tam właśnie owe automaty — rzecz wygląda bardzo efektownie i po europejsku. Na skalę europejską są również niewielkie tabliczki o znormalizowanych wymiarach (kolej lubi porządek) głoszące, że „sygnalizacja nie działa" — co w dyskretny sposób daje przejeżdżającym do zrozumienia, iż winni liczyć raczej na własne oko i ucho, niż na zepsutego „dróżnika".

Rzecz tylko w tym, że napis ów dojrzeć można z odległości zaledwie 3—4 metrów. Zatem może się zdarzyć, że dyskretny (dosłownie) anons PKP będzie dla kogoś ostatnią rzeczą oglądaną na tym ziemskim padole.

Ku pamięci

Oto fragmenty wypowiedzi bywalców łódzkiej Izby Wytrzeźwień utrwalone przez nich po wytrzeźwieniu na kartach książki życzeń i zażaleń:

„Byłem i się umyłem. Myto i kąpano lecz z rachunkiem też wygórowano. Wódka".

„Byłem przyjęty jako człowiek, wyszłem bardzo zadowolony".

Naturalnie są i malkontenci.

„W izbie pielęgniarz zachowuje się bardzo nietaktownie, bo myje zimną wodą oraz wężem pod ciśnieniem".

... „ja osobiście stwierdziłem na słowo Polaka i honor ojczyzny mojej, że zginęło mi czterdzieści złotych".

Poproszę co łaska

Żebrak Michał K. przesiadujący najczęściej na ul. Nowomiejskiej jedną ręką pobierał rentę 500 zł. miesięcznie, a drugą wyciągał po jałmużnę. Chwali się, że w ciągu trzech godzin potrafi użebrać od 100—200 zł, które następnie przepija. W Aleksandrowie ma własny domek i tu ściąga na nocleg po całodziennym trudzie. Karany przez kolegium karno-orzekające przepadkiem jałmużny i zaliczeniem jej na poczet grzywny.

Żebrak Kazimierz S. również pobiera rentę, ma żonę i dzieci, które już pracują. Jest kaleką bez nóg i gra na skrzypcach.

Jerzy W. z pl. Niepodległości, przezwany „Krzyżykiem", ponieważ żebrze z krzyżykiem w ręku. Pięciokrotnie zatrzymany w Izbie Wytrzeźwień. Ma matkę, która pracuje jako robotnica.

16-letni Jan T. rodem spod Skierniewic żebrze głównie w pociągach. Matka ma pięciohektarowe gospodarstwo, ojczym pracuje w browarze. Biciem wypędzają go z domu. Zatrzymywany często w Izbie Dziecka MO.

Wobec powyższych faktów łódzka KM MO wystąpiła ostatnio z projektem do zespołu pr.y Ministerstwie Sprawiedliwości opracowującego prawo o wykroczeniach, aby kolegia karno-orzekające rozpatrywały sprawy żebraków w trybie przyspieszonym orzekając o przepadku jałmużny, karały żebraków zdolnych do pracy zarobkowej aresztem lub grzywną do 3 tys. złotych i kierowały do zakładów opiekuńczych. Projekt na pewno godny uznania.

Wielkopański gest

Cukiernik pan R. słynie na terenie Kolumny i okolicy nie tylko z dobrych wyrobów, ale i z wielkopańskiego gestu. Potrafił on urządzić huczne wesele dla córki — w myśl zasady zastaw się a postaw — chociaż mówiąc skromnie zalega od lat z podatkami na łączną sumę, bagatelka, 300 tys. zł. Od czegóż jest jednak pomysłowość pana R. Po szczęśliwie odbytym weselu złożył podanie w Prez. PRN w Łasku, aby mu podatek łaskawie rozłożono na raty. „Inaczej zamknę zakład" — stwierdza w konkluzji swego podania pan R. Stało się podług woli pana R. Podatek rozłożono na raty. I niektórzy powiadają, że władze finansowe są u nas despotyczne i nieubłagane.

Włóczykije

Nie tak dawno dokonano w Łodzi w biały dzień napadu z bronią w ręku na jeden ze sklepów jubilerskich. Sprawcy zostali schwytani na ulicy. Jeden z nich okazał się nigdzie nie meldowanym, notorycznym włóczykijem.

Często różnych włóczęgów „bożych" można spotkać „pod dobrą datą" w otoczeniu podejrzanych osobników na łódzkich dworcach. Funkcjonariusze KD MO — Polesie zatrzymali ostatnio kobietę-włóczęgę, aż z woj. lubelskiego, która z wielu pieców już chleb jadła, była także gosposią „od wszystkiego" na plebanii.

Trzeba żeby za włóczęgów i włóczykijów wzięły się wreszcie na dobre kolegia karno-orzekające, karząc ich za niedopełnienie przepisów meldunkowych.

DEWIZOWE INTERESY

W br. organa MO i prokuratura wojewódzka dla m. Łodzi skierowały do sądu trzy sprawy o grubsze przestępstwa dewizowe. Pani M. wybierała się na stałe do rodziny w NRF, oczywiście nie z pustymi rękami. Usiłowała przemycić na dnie „amerykanki" 1.600 dolarów, dwie sztabki złota i kilkanaście tysięcy złotych. Z zawodu była skromną chałupniczką.

Eugenia Cz. trzykrotnie odwiedzała swoją rodzinę w NRF szmuglując marki zachodnioniemieckie do Polski, a z Polski wywożąc dolary. Na inny pomysł wpadł pan G., właściciel zakładu krawieckiego. Spośród rencistów werbował on tzw. figurantów, płacąc im za podstawienie nazwiska 2 tys. zł. przy czym wartościowe przesyłki ze sweterkami wełnianymi z Wiednia i Paryża wpływały na adresy figurantów. Pan G. wolał być w cieniu... Tymczasem, cóż, fortuna kołem się toczy.

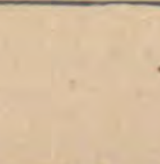

Wpadka meliniarzy

Spośród 264 melin z wódką będących „na oku" łódzkiej KM MO w czerwcu br. przyłapano na gorącym uczynku i zlikwidowano 39. Konfiskacie uległo ponad 100 litrów wódki i 8 tys. zł gotówką. U Janiny R., przy ul. Czołgistów znaleziono 13 l wódki ukrytych w komórce w specjalnie wykopanym dołku, u Stanisławy K., ul. Limanowskiego — litr wódki, litr wina i 8 tys. zł „z utargu", u Heleny S., ul. Zielona — 5 l wódki, u Marty Sz., właścicielki sklepu owocowo-warzywnego przy ul. Bydgoskiej — 12,5 l wódki i 2 l spirytusu.

W obrębie Bałut wykryto bimbrownię z aparaturą, a KD MO Łódź-Górna wytropiła na swoim terenie melinę z nielegalną sprzedażą bimbru. Meliny funkcjonowały głównie w dni wypłat, w niedzielę i święta. Cena paskarska litra wódki — 100 zł. Wkrótce klienci melin otrzymają wezwania do kolegiów karno-orzekających, meliniarze zaś odpowiedzą przed sądem.

Przeciętnie w ciągu roku wpływa do Sądu Powiatowego w Łodzi ok. 100 spraw meliniarskich z ustawy przeciwalkoholowej. Zdaniem organów ścigających sąd nie zawsze radzi sobie z meliniarzami jak przystało i albo wymierza zbyt niskie grzywny do 2,5 tys. złotych, albo też zbyt często korzysta z zawieszenia kary.

Poza tym tylko z drugiego półrocza 1960 r. zalega w sądzie 17 spraw meliniarskich.

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów"

Fot. Anatol Kobyliński

Fot. Anatol Kobyliński